MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK X. Nr. 31. WARSZAWA, 3 SIERPNIA 1930 R. CENA NUMERU 80 GR.

POLSKA, ROSJA A KWESTJA UKRAIŃSKA

JEDNYM z donioślejszych skutków niedawnego cyklu artykułów Romana Dmowskiego o sprawach rosyjskich jest niewątpliwie ożywienie zainteresowań, przynajmniej u bardziej myślącej i politycznie wyrobionej części inteligencji polskiej dziedziną stosunków polsko-rosyjskich oraz zagadnieniami, które się z tem wiążą.

Dziedzinę tę charakteryzuje naogół doskonale porównanie do „mętnej wody“; rzeczywiście bowiem trudno o większy brak skrystalizowanej myśli i linji politycznej, zwłaszcza u obecnych czynników oficjalnych. To też syntezę Romana Dmowskiego, odsłaniającą wielkie przeobrażenia w położeniu zewnętrznem Rosji, wskazując na praktyczne konsekwencje, jakie to winno za sobą pociągnąć, uznać należy za prawdziwy czyn polityczny. Życzyć też trzeba, by owe proste i niezłomne logiczne wywody wielkiego polityka i znakomitego znawcy Rosji stały się podstawą rozległej pracy myślowej, którąby wreszcie doprowadziła do stworzenia jasnej i konsekwentnej linji politycznej Polski względem Rosji, linji opierającej się na gruntownej analizie sytuacji i zarysowujących się tendencyj rozwojowych. Ustalenie tego jest jednym z głównych warunków mocarstwowego stanowiska Polski w Europie.

W artykule niniejszym zamierzamy rozważyć jedno tylko zagadnienie o charakterze akcesoryjnym, tem niemniej wielkiej dla nas doniosłości, a mianowicie sprawę stosunków polsko-rosyjskich na tle t. zw. kwestji ukraińskiej.

Co do ogólnych założeń problemu polsko-rosyjskiego, wystarczy nam tutaj stwierdzić, że nastawianie się Rosji „frontem“ do Azji, Polski zaś „frontem“ do Niemiec, stwarza dla obu państw konieczność pokojowego współżycia sąsiedzkiego, co uzasadnione jest tembardziej, że żadne istotne interesy nie pchają Rosji do ekspansji na zachód, a Polski do ekspansji na wschód, przynajmniej pod względem politycznym i w najbliższym okresie.

Pewne komplikacje wynikają niewątpliwie z faktu, iż Rosja sowiecka jest równocześnie ośrodkiem światowej akcji wywrotowej. Niewolno nam jednak zapominać, że Rosja jest zjawiskiem trwałem, natomiast rządy bolszewickie z natury rzeczy są czemś przejściowem. Zresztą nawet przy obowiązującym obecnie systemie komunistycznym, logika położenia zewnętrznego Rosji nakazuje jej pokojowy kurs polityczny względem Polski. Z każdym dziesiątkiem lat postulat ten stawać się będzie prawdopodobnie coraz bardziej oczywisty. To samo powiedzieć można i o Polsce, bodaj w wyższym jeszcze stopniu.

Wracając do tematu stawiamy tezę, że niezależnie od zasadniczego faktu, iż dla Rosji, zaabsorbowanej na wschodzie, jest rzeczą bardzo wygodną sąsiadowanie z Polską, a dla Polski, zajętej na zachodzie — sąsiadowanie z Rosją, sprawą, która łączyć może politykę polską i rosyjską jest ponadto kwestja ukraińska. Postaramy się to bliżej wyjaśnić.

Nie ulega wątpliwości, że Rosja, ten szczególny twór państwowy na pograniczu dwuch światów, ten bufor między Europą a Azją, swoją rolę historyczną spełnić może jedynie wówczas, jeśli utrzyma swą jedność polityczną i gospodarczą. I tu wysuwa się odrazu olbrzymie znaczenie, jakie posiadają dla Rosji jej ziemie południowe, zamieszkałe przez ludność małoruską. Ukraina jako składowa część Rosji, stanowi nietylko prowincję najludniejszą ale najbogatszą, zarówno w dziedzinie produkcji rolnej, jak i przemysłowej. Bogactwa na-

turalne Ukrainy predystynują ją na kolebkę przyszłego wielkiego przemysłu rosyjskiego, rola bowiem gospodarcza Syberji jest jeszcze dzisiaj czemś bardzo dalekiem. Wszystko to razem stwarza sytuację, w której rozwój i byt Rosji, jako całość, wiążą się integralnie z rozwojem i bytem Ukrainy.

To też nic dziwnego, że kwestja ukraińska, pojęta jako problem separatyzmu z tendencjami do odrębnej państwowości, spędza sen z oczu obecnych władców Rosji sowieckiej, tak samo zresztą jakby nie dawała spokoju i rządcom Rosji jutrzejszej. Stworzenie oddzielnego państwa ukraińskiego byłoby dla Rosji największą klęską, przed którą każdocześni sternicy państwa, zmuszeni z konieczności do reprezentowania syntetycznej myśli państwowej, będą się bronić ze wszystkich sił. Pod tym względem rosyjski komunista porozumie się niechybnie z monarchistą-emigrantem.

Wysiłki rządu moskiewskiego, zmierzające do tłumienia objawów narodowościowego separatyzmu na Ukrainie sowieckiej, tłumaczą się nie tylko względami kosmopolitycznej doktryny komunizmu, ale przedewszystkiem względami racji stanu, z jej zasadniczym postulatem utrzymania jedności państwowej. Pomimo przeciwnych pozorów, Związek Sowiecki jest jak dotąd tworem politycznie scentralizowanym, a rządy „Moskwy", są symbolem całego państwa—niewątpliwie. Podobną centralizację ułatwia sama logika systemu dyktatury partji komunistycznej, tak, jak dawniej tworzyła ją logika systemu autokracji.

Z naturalnego, wyraźnie negatywnego stosunku Rosji do kwestji ukraińskiej, wynikają dla Polski nader ważne konsekwencje.

Przed Polską stoi w dobie obecnej poważne zagadnienie unifikacji etnicznej terytorjum państwowego, przedewszystkiem jeśli chodzi o mniejszości słowiańskie, o ziemie kresów wschodnich.

Sprawa dokończenia na wschodzie dziejowego procesu unifikacji, przerwanego tak fatalnie przez klęskę rozbiorów—jest zadaniem niewątpliwie ciężkiem i wymagającem wytrwałych wysiłków, zwłaszcza w odniesieniu do Małopolski Wschodniej, gdzie świadomość narodowa ukraińska, dzięki istnieniu szerokich kadr inteligencji, poczyniła bardzo znaczne postępy. Tem niemniej daleko do uznania sprawy za przegraną.

Atutów mamy w ręku cały szereg. Możność operowania aparatem państwowym, pozytywna działalność administracji, wpływ służby wojskowej, szkoły, systemu gospodarczego—są to wszystko rzeczy dużego znaczenia. Brak własnych ruskich tradycyj państwowych, wyższość kulturalną polskości odegrać mogą także, jakkolwiek w mniejszym stopniu niż się to niejednokrotnie wydaje, swoją rolę. Niepodobna również nie wziąć pod uwagę, faktu ogromnej doniosłości, który polega na tem, że w miarę upływu czasu, na skutek zupełnej odrębności ustroju społeczno-gospodarczego i politycznego, jaki obowiązuje w Polsce i Rosji, niepostrzeżenie ale też i nieuchronnie coraz głębsze różnice powstawać będą między niepolską ludnościa naszych kresów wschodnich a ludnością zamieszkałą po tamtej stronie granicy. Proces taki może posiadać wpływ zbawienny w dziele moralnego związania „mniejszości" słowiańskich z państwem polskiem, a w dalszych konsekwencjach i z narodem polskim.

To też widzimy, że mądra polityka „mniejszościowa", ostrożna w metodach, ale świadoma swego celu, ma, naogół biorąc, duże widoki powodzenia. Należy jednak zaznaczyć, że rozwiązanie kwestji ukraińskiej wiąże się z bardzo poważnemi trudnościami i pod tym względem porównać się nawet nie da z kwestją białoruską, stosunkowo całkiem łatwą.

Najpoważniejszym atoli atutem Polski w kwestji ukraińskiej jest sytuacja zewnętrzna, będąca tłem omawianej sprawy.

Rusini z Małopolski Wschodniej, nawet w połączeniu z rusinami z Wołynia, w żadnym wypadku nie są w stanie stworzyć własnego państwa, choćbyśmy nawet przyjęli teoretycznie założenie o całkowitem zwycięstwie w społeczeństwie ruskiem tez nacjonalizmu ukraińskiego.

O utracie tychże ziem możnaby mówić realnie tylko w związku z powstaniem niezależnej Ukrainy, do której jako do owego polityczno-kulturalnego ośrodka coraz silniej poczęłyby ciążyć ruskie „mniejszości" w Polsce. Bez podobnej perspektywy postulaty najskrajniejszych separtystów ukraińskich w Polsce z konieczności wyczerpywać się muszą w dążeniu do autonomji terytorjalnej i do niczego więcej.

Niezależna Ukraina, o której wspomnieliśmy, musiałaby być ponadto nietylko niepodległa, ale i demokratyczna. Pod tym względem charakterystyczne jest zakłopotane stanowisko UNDO, decydujacego dla ruchu ukraińskiego ugrupowania (52% głosów ruskich przy ostatnich wyborach sejmowych padło na tę listę), któremu względy polityki socjalnej i gospodarczej nie pozwalają na propagandę przyłączenia Małopolski Wschodniej i Wołynia do Związku Sowieckiego, jako etapu na drodze narodowego zjednoczenia.

Na tle powyższem staje się jasną lekkomyślność haseł federacyjnych, według których Polska własnemi rękami miałaby dobrowolnie przygotowywać grunt pod przyszłe konflikty, a w dalszych skutkach przyczyniać się do parcelacji swego i tak szczupłego terytorjum.

Wynika stąd, że Polska nie ma najmniejszego interesu w rozbiorze Rosji, że przeciwnie całość państwa rosyjskiego w jego obecnych granicach, gwarantuje Polsce zachowanie tych pomyślnych warunków zewnętrznych, które są najlepszym naszym sojusznikiem w pracy nad rozwiązaniem kwestji ukraińskiej. Że zaś sprawa ta równocześnie stanowi i stanowić będzie niewątpliwie jedną z najważniejszych trosk, dla każdoczasowego rządu moskiewskiego — wyłaniają się przeto w następstwie poważne możliwości ścisłego porozumienia Polski i Rosji w kwestji ukraińskiej.

Antyniemieckie z konieczności nastawienie Polski i brak istotnego jej interesu w ekspansji na wschód, oraz antyazjatyckie nastawienie Rosji tworzą podstawy pokojowych i najbardziej poprawnych stosunków sąsiedzkich, jakich domaga się położenie zewnętrzne obu państw, i jakich domagać się będzie coraz silniej, zwłaszcza dla Polski, stojącej przed wzrastającą falą odwetu niemieckiego.

Do wszystkich tych względów, przed któremi ustąpić muszą dotychchczasowe nienawistne tradycje ucisku i walk oraz uzasadnione niechęci, wynikające z działalności wywrotowej Sowietów, dołą

cza się ponadto naszem zdaniem wzgląd na kwestję ukraińską.

Myśl taka musi być oczywiście w pewnych kołach niepopularna, zwłaszcza wśród ludzi, którzy ekspansję Polski budować usiłują na nienowoczesnych lub wręcz anachronistycznych założeniach państwa federacyjnego, i to w czasach, kiedy nawet Stany Zjednoczone Ameryki przybierają coraz wyraźniej swoiście narodowe, protestanckie i anglosaskie oblicze. Na nieuctwo historyczne i socjologiczne niema rady, ale nie powinno to stanowić przeszkody dla tych, którzy głębokie wewnętrzne przekonanie i poczucie odpowiedzialności za przyszłość Polski stawiają wyżej od poklasku gawiedzi politycznej.

ST. L-SKI

SPOŁECZNO-POLITYCZNE IDEJE SŁOWACKIEGO W DOBIE MISTYCYZMU

(Ciąg dalszy)

III

PISMA POLITYCZNE: „ZŁOTA WOLNOŚĆ“ JAKO IDEA MESJANICZNA

NA TORY realniejszego myślenia politycznego sprowadziły Słowackiego okoliczności zewnętrzne: ruch wśród emigracji przygotowującej powstanie roku 1846. Już wiersz „Do autora Trzech Psalmów“ jest owocem tego momentu. Odbijają się w nim też wyraźnie nastroje panujące ówcześnie w obozie demokratycznym,—pomysłów oryginalnych tu niema. Postawa duchowa Słowackiego wobec zagadnień społeczno-politycznych zmienia się i określa wyraźniej po upadku powstania. Około połowy roku 1846 rozpoczyna się okres właściwych pism politycznych. Pierwsze z nich, powstałe jeszcze przed połową tego roku, p. t. „Głos z wygnania do braci w kraju“, — jeżeli jest wogóle utworem Słowackiego, gdyż znamy je tylko z odpisu [1])—nie zawiera myśli oryginalnych: jest to głos pocieszenia i głos napomnienia dla szlachty, której dawne grzechy spowodowały rzeź galicyjską. Można powiedzieć, że wynika ztąd ten sam program, tylko że ujęty z przeciwnego końca, który mieścił się w haśle Krasińskiego: „z szlachtą polską, polski lud“. — Myśli oryginalne, nad któremi bliżej zatrzymać się nam przyjdzie, mieszczą dopiero pisma następne: dwa „Listy do ks. Adama Czartoryskiego“, pismo „Do Emigracji o potrzebie idei“ i „Głos brata Juljusza Słowackiego do zgromadzonych i w klub zawiązać się chcących Polaków, przedstawiający potrzebę przyjęcia nowej formy konfederacyjnej“.

Po chybionem powstaniu 1846 roku wrzenie wśród emigracji nie ustawało: z jednej strony czyniono sobie wzajemne rekryminacje, z drugiej zabiegano o koncentrację stronnictw, wobec przewidywanych dalszych wypadków. Ten stan napięcia podsycany był nastrojem rewolucyjnym środowiska francuskiego, spowodowanym reakcyjnym zwrotem w rządach Ludwika Filipa. Już sama ta atmosfera musiała oddziałać na Słowackiego. Zupełne odosobnienie w jakiem żył, onieśmieliłoby go było przecież do wkroczenia na arenę życia politycznego. Stało się jednak, że właśnie wtedy to odosobnienie zostało przełamane. Jak to Szczęsny Feliński w „Pamiętnikach” swoich opowiada [2]), przybyły wtenczas do Paryża niedobitki nieszczęśliwego ruchu rewolucyjnego, przeważnie ludzie młodzi, z wyższem wykształceniem, którzy, — zrazu skupiwszy się pod skrzydłami Centralizacji demokratycznej, którą jeszcze z kraju przywykli za swą naczelną władzę uważać, — „zetknąwszy się teraz bezpośrednio z tymi starymi doktrynerami, co naśladując przez lat kilkanaście cudze obyczaje i karmiąc się obcemi zasadami, wyluzowali z duszy wszystkie niemal, narodowego charakteru znamiona, przekonali się niewątpliwie, że Demokraci pod względem pojęć nic już wspólnego z ludem polskim nie mieli, w stosunku zaś do religji stanęli nie już na stopie obojętności lub lekceważenia, lecz zawziętej nienawiści“... Ta tedy młodzież emigracyjna, wystąpiwszy z Tow. Demokratycznego założyła osobne stronnictwo pod nazwą „Związku Narodowego“. Do tej to grupy, za pośrednictwem Felińskiego, zbliżył się Słowacki — i w ten sposób zetknąwszy się z życiem, zabrał głos, aby wszczepić w to życie swoje marzenia.

Podczas kiedy właściwe pisma genezyjskie pozostały niewydane, pisma polityczne albo były drukowane, albo bezpośrednio do ogłoszenia przygotowane. Już ten rys zewnętrzny odróżnia je od tamtych. Przeznaczone dla powszechności mówiły też do niej jej językiem, jakkolwiek genezyjskie motywy odsłaniają się tu i ówdzie mimowoli, a motyw mesjanicznego posłannictwa Polski, jest zawsze wyraźny; ten motyw był już zresztą chlebem powszednim emigracyjnej i nieemigracyjnej literatury. Ale mesjaniczne posłannictwo Polski polegało u Słowackiego nie już na przewodniczeniu ludom w walce o wolność, ale na nadaniu im nowego hasła, nowej formuły tej wolności, formuły polskiej. Zarzuty, które wedle Felińskiego — młoda emigracja stawiała Demokratom, powtarzają się we wszystkich pismach politycznych Słowackiego, tylko że zwracają się nie przeciwko jednemu, lewicowemu, ale tak samo i przeciw prawicowemu kierunkowi: *emigracja zatraciła związek z duchem narodowym, brak jej przeto idei własnej, idei polskiej. Potrzeba wydobycia i zrealizowania tej idei jest w tych pismach motywem naczelnym.*

[1]) Utwór ten znamy tylko w odpisie Teofila Januszewskiego. Nosi on słabe cechy stylu Słowackiego, tak że mógłby być tylko naśladowaniem; myśli nie odbiegają od poglądów Słowackiego. Jako odezwa ogłoszony zapewne nigdy nie był, zadania swego przeto nie spełnił.

[2]) Pamiętniki ks. Zygmunta Szczęsnego Felińskiego, arcybiskupa warszawskiego. Wyd. 2. Lwów 1912. Część I. Str. 266—267 i 306.

Pod względem treści, są one zresztą tak do siebie podobne, że można mówić o powtarzaniu na różny sposób tego samego. Różnią się tylko stylem, sposobem argumentacji i pobocznemi szczegółami. Będziemy je przeto traktować jako jedną całość. Najpierw jednak rozejrzyjmy się w ich chronologji, okolicznościach w jakich powstały i charakteryzujących je cechach formalnych [3]).

Pierwszym z rzędu jest utwór, wydany anonimowo p. t. „Do księcia A. C.", (List I, do ks. Adama Czartoryskiego). Wyszedł on zapewne z początkiem lata 1846 r.; Krasiński pisze w połowie czerwca do Gaszyńskiego, że właśnie go dostał do rąk. Wydaje się napozór dziwnem, że Słowacki, zbliżony zawsze do kierunku demokratycznego, zwraca się z tym jakoby programem ustroju przyszłej polski do ks. Adama, głowy obozu konserwatywnego i w opinji tego obozu, kandydata na tron polski. Zwrócenie się do niego właśnie z tego rodzaju listem otwartym, przedstawiać się musi jako przyznanie mu, przed innymi, czynnika najpoważniejszego z pośród pracujących nad sprawą Polską. Czem się to tłumaczy? — Sprzeciwienia się zasadom demokratycznym, w żadnym razie, w tem nie było: demokratyzmu nie można utożsamiać z przynależnością do Tow. Demokratycznego. Obóz konserwatywny przyznawał się również do haseł demokratycznych, a różnicę z Tow. Demokratycznem upatrywał tylko w metodach działania. Metody zaś praktykowane przez Centralizację (organ kierowniczy Tow. Dem.), skompromitowały się właśnie fatalnie: lekkomyślnie podjętem powstaniem, tragikomedją rewolucji krakowskiej i — pozostającą z temi ruchami, w związku przyczynowym — rzezią galicyjską. Po tych to wypadkach zaczęła napływać do Francji owa fala „młodej emigracji", złożona z ludzi nieskostniałych jeszcze w żadnej doktrynie, a wynikami działań Centralizacji wcale nie zbudowanych; do nich, jak powiedziano, i do założonego przez nich Związku Narodowego, zbliżył się Słowacki. Już to przełamało w pewnej mierze zaporę, dzielącą go od stronnictwa konserwatywnego, ile, ze dystans dzielący go od niego i od Tow. Demokratycznego był niemal ten sam [4]). Zwroty o „czerwonych demokracjach", o „cielesnej równości", o polityce klubowej", zawarte w „Liście" i późniejszych pismach, zwrócone są wyraźnie przeciw Centralizacji. Tretiak przypuszcza, że „List" wywołany był odczytem St. L. Gajewskiego, wygłoszonym na publicznem zebraniu, w rocznicę Trzeciego Maja, a omawiającym w duchu stronnictwa konserwatywnego w sposób ujemny ustrój republikański dawnej Rzplitej, w którym prelegent dopatrywał się przyczyn jej zguby, Jeśli tak — co jest bardzo prawdopodobnem — to „List" sprowokowany był przez obóz konserwatywny i stąd, rzecz prosta, do głowy tego obozu się zwraca. Za żadnym zresztą z obozów się nie oświadcza, bierze bowiem w obronę ustrój republikański dawnej Polski, zarówno przeciw monarchicznym konserwatystom jak i przeciw demokracji współczesnej, na modłę francuską przykrojonej. Monarchizm obozu konserwatywnego sam przez się Słowackiego nie zraża; toć ustrój dawnej Polski, z królem na czele, miał za ustrój republikański. Pod „Listem" podpisał się też „Republikanin z ducha", to znaczy nie z ciała, czyli z formy. Wysuwanie programu monarchicznego uważał on wprawdzie, w danej chwili, ze względów taktycznych za niewłaściwe i ostrzegał przed tem księcia w jednej notatce „Raptularza", która jest niewątpliwie jakimś poniechanym warjantem „Listu" [5]). Ale zasadniczo spór o samą formę rządu uważał on zdawna za jałowy i wyśmiewał go jeszcze w „Kordjanie". nadając ton głupkowatości pytaniu: „czy lepiej kiedy jest król, czy kiedy go niema?" — Przytem Słowackiego, wrażliwego zawsze na indywidualność ludzką, zawsze poszukującego pełnego człowieka, musiała pociągać postać księcia Adama, górująca niewątpliwie nad innemi osobistościami emigracji. Także i daleko bardziej ustępliwe i ofiarne stanowisko obozu konserwatywnego przy zabiegach o koncentrację stronnictw, w przeciwstawieniu do nieustępliwości demokratycznej Centralizacji, ujmowało go. Toż i później, w roku 1848, kiedy znowu chodziło o koncentrację, Słowacki nie przyłączył się do negatywnego stanowiska Centralizacji, ale wraz z sobie bliskim Związkiem Narodowym, stanął po stronie stronnictw zjednoczonych, a zalecając temu zjednoczeniu formę konfederacji, na czele jej chciał widzieć jako „trójcę konfederacką" — Czartoryskiego, Różyckiego i Mickiewicza.

Z tem wszystkiem jednakowoż Słowacki, przewidując możliwość odegrania decydującej roli przy odbudowaniu Polski przez księcia Adama, i z tego powodu pragnąc wszczepić mu swoje poglądy na charakter przyszłego ustroju, nie chciał jednak, i nie mógł oświadczyć się za zwolennika obozu monarchiczno - konserwatywnego. I ztąd właśnie wynika cały ton „Listu". Nie mówi on do księcia: jesteś tym, który obejmie ster rządu, a zatem zwracam się do ciebie z programem przyszłego ustroju—ale chce dać tylko do poznania, że książę, jako działacz publiczny, powinien przejąć się takiemi to ideami, które wprowadzi w życie w wypadku, jeżeli będzie miał do tego sposobność. W tych warunkach ton „Listu" nie może być zdecydowany i stanowczy, ale raczej zawarunkowany, problematyczny, konwersacyjny tylko niejako i nie-

[3]) Strona faktyczna — chronologja i okoliczności zewnętrzne—przedstawiona jest najdokładniej u Tretiaka: „Juljusz Słowacki" tom 2, rozdz. 23. Idę też za tem przedstawieniem, poprawiając oczywiście hypotezy (zwłaszcza co do chronologji), które uważam za mylne.

[4]) Ponadto sama już towianistyczna doktryna oddalała Słowackiego od wszystkich stronniciw,—pozostał sam—z duchami zaświatnemi. W wierszu „Do autora Trzech Psalmów" mówi o tem:

„I przybiegli aniołowie,
Aniołowie betlejemscy,
A odbiegli ludzie ziemscy
I drzwi moje pożegnali
I przeklęli me domowe
Duchy—serce—moją głowę,
Każdy włos poprzeklinali".

[5]) Gubr. X 345: „...powstawać o królestwo W. Ks. Mości byłoby szaleństwem ostatniem, — byłoby to ruszyć kaskady wszystkie — a zły i słaby młyn, zwyczajnych potoków wytrzymać zaledwie mogący, przenieść i na spuście wód szalonych postawić". — Przypomnieć tu trzeba wiersz „Do autora Trzech Psalmów", w którym Słowacki z jednej strony wyraża się z wielką czcią o Księciu, z drugiej jednak uważa, że monarchiczne tendencje jego obozu zdyskwalifikowały go, jako czynnik polityczny; („poszedł gnić między królami, — już go niema i was niema", t. j. szlachty, której Książę był jakoby ostatnim reprezentantem). — Świeżo ogłoszone przez L. Płoszewskiego zapiski Niedźwiedzkiego o Słowackim (Pam. lit. 1929, zeszyt 4), dowodzą, że uprzednio już stosunki Słowackiego z Czartoryskim i jego sferą były wcale blizkie i przyjazne; z listów jego wiedzieliśmy dotąd tylko o żywych sympatjach łączących go z ks. Witoldem Czartoryskim (1842). Zdaje się, że te stosunki rozluźniły się właśnie później dopiero, skutkiem przystąpienia Słowackiego do towianizmu.

obowiązujący. Dodajmy do tego jeszcze nieco pierwiastka dworskości, a złoży się na to styl, któremu Krasiński, nie zaprzeczając zalet, zarzucał jednak pewną nienaturalność. Że zresztą Słowacki świadomie i celowo stylu takiego użył, zdaje się świadczyć taka notatka w „Raptularzu“: „Środek między mównicą a krzesłem wizyt... wielką mieć będą wartość literacką, a będą żywe.—Co do treści zasadniczej, to „List“ zarzuca księciu, że chce wprowadzić do Polski, obce duchowi jej, formy konstytucjonalizmu francuskiego, podczas, gdy tylko formy rodzime, z ducha narodu powstałe, mogą mu przynieść zbawienie.

Już taka sama forma konwersacyjna, na pół poważna, na pół żartobliwa, świadczy o chronologicznej bliskości „Listu“, drugiego z pierwszym; formy stylowe mają tendencję opanowywania umysłu, podobnie jak to bywa z nutami, które natrętnie czas jakiś dzwonią w uchu, — raz pozbyte nie wracają więcej. Myli się Tretiak — za nim i Kleiner—przesuwając datę tego drugiego „Listu“ na czas późniejszy, przypadający rzekomo aż po powstaniu pisma „Do Emigracji o potrzebie idei“. Zresztą po ogłoszeniu tego pisma „List II“ byłby niepotrzebny. List ten nietylko formalnie, ale i treściwie tak jest do pierwszego zbliżony, że gdyby nie wyraźne powoływanie się na „List” pierwszy, można by go mieć za jego warjant. Chodzi tu o to samo, podawane są tylko nowe argumenty, nowe koncepty konwersacyjne i nowe ustępy o znaczeniu ubocznem. „Obsesja“ pochodziła nie tylko ze strony formy, ale i ze strony treści;—jest to dla Słowackiego, w owej przynajmniej epoce, charakterystyczne: opanowany jakimś tematem niemoże się z nim rozstać, powtarza go wielokrotnie,—warjanty „Króla Ducha“ są klasycznym tego przykładem.—„List II“ za życia Słowackiego wydanym nie był, a jest to całkiem zrozumiałe, gdyż produkt tego rodzaju obsesji w myśl zasady „*non bis in idem*“ do publikacji się nie nadawał; same tylko nowe dodatki nie mogłyby jej usprawiedliwić [6]). Natomiast ideje „Listów do Czartoryskiego“ miały zostać podane w odmiennej zupełnie formie całej emigracji pismem „Do Emigracji i o potrzebie idei“.

W r. 1847-ym istniejące w Paryżu Tow. Historyczno - Literackie obradowało nad tem, w jaki by sposób działalność swoją ożywić; zamierzano w szczególności urządzać posiedzenia publiczne. W dniu 25-ego marca przy dyskusji nad tą sprawą zabrał głos Słowacki i wyraził opinję, że rzeczą najważniejszą dla Towarzystwa i jego obowiązkiem jest wystawianie jakiejś myśli naczelnej, jakiejś idei. I prawdopodnie dla poparcia tej inicjatywy napisał wkrótce potem broszurę p. t.: „Do Emigracji o potrzebie idei“, wydaną bezimiennie w tymże roku. Tretiak, a za nim Kleiner sądzą, że broszura wyszła przed owem posiedzeniem, a Sł. zabierając głos za potrzebą wystawienia jakiejś idei przez Towarzystwo, miał na celu zwrócenie na nią uwagi... W takim przedstawieniu rzeczy widna aż nadto wyraźnie idiosynkrazja Tretiaka w stosunku do Słowackiego; dziwna rzecz, że dał się na to ułowić Kleiner. Jest zresztą jasnem, że gdyby tak było, to dyskusja nad tą sprawą zaczęłaby się zaraz na najbliższych posiedzeniach toczyć w Towarzystwie, tymczasem zaczęła się ona dopiero w jesieni. Dnia 7 października, młody jeszcze wtedy literat Edmund Chojecki, wygłosił referat p. t. „Rzecz o potrzebie idei“, w którym, jak można wnosić ze sprawozdania w „Trzecim Maju“, stanął na stanowisku Słowackiego. Stanowisko przeciwne zajął 4 listopada Karol Hofman (mąż Klementyny z Tańskich, wybitny prawnik i znawca historji prawa polskiego); wystąpiwszy przeciwko liberum veto dowodził przytem, że rzekoma rodzimość tej instytucji, wbrew twierdzeniom Słowackiego, jest złudą, gdyż istniała i u innych narodów. O referacie i dyskusji nad nim zdaje sprawę „Trzeci Maj“. Z jego sprawozdania zdawałoby się wynikać, że Sł. ironizując wywody Hofmana, dla wykazania, że poszukiwania historyczne odległych początków jakichś instytucyj doprowadzić mogą do absurdu — wywodził, że formę konstytucyjnej monarchji odnieść można do homerowego przedstawienia rządu bogów na Olimpie. „Trzeci Maj“, stojąc zresztą na stanowisku Hofmana, chwalił dowcip tej polemiki i uważał posiedzenie za bardzo interesujące. Jednakowoż ten pomysł olimpijskiego pochodzenia monarchji konstytucyjnej, znajdujemy traktowany całkiem serjo już w „Liście II. do ks. Czartoryskiego“ [7]), a później także w „Głosie Brata Jul. Słow. o konfederacji“. Wedle tego Homer poetycką intuicją miał ujrzeć narodową formę rządu, właściwą Hellenizmowi, a spoczywającą nieświadomie w duszy narodu. Sam jednak Homer nie wiedział o właściwem znaczeniu tej formy, a ujrzawszy ją w duchu mniemał, że jest to forma, którą rządzą się bogowie. Gdyby Hellenowie zrozumieli byli właściwe znaczenie widzeń Homera i tę formę rządu, jako naturze na-

---

[6]) W związku z omówieniem „Listów“ utrzymuje J. Kleiner (Jul. Słow. tom IV, część 2, str. 189 i n.), że do Czartoryskiego zwrócone są także dwa wiersze: „Ty głos cierpiący podnieś“ (Gubr. I. 171) i: „Biada wam gdy się budzi duch“ (tamże 121). Na jakiej podstawie Kl. wiersze te do Czartoryskiego odnosi, pojąć trudno. Pierwszy z nich wpisany jest wprawdzie w rękopis Listu II, kto jednak zna obyczaj Słowackiego, zapisywania wszystkich wolnych miejsc w rękopisach, żadnej wagi do tego przywiązywać nie może; inaczej doszlibyśmy do niesłychanych wprost rezultatów. Niedalej szukając, na odwrocie tej samej karty znajdują się warjanty „Księgi Legend Króla Ducha“; czy może i Król Duch ma jaki związek z Czartoryskim?—Sam początek tego wiersza: „Ty głos cierpiący podnieś—i niech w tobie Krzyknie i naraz poważnie zaśpiewa“—wskazuje, że zwrócony on jest do poety, być może do Krasińskiego. Zakończenie — („Biada tym, którzy... o dar ducha do nieba kołacą, Jak ty, nie wziąwszy go czynem i pracą“) — łatwo też odnieść do Krasińskiego, porównując je z listem do niego z 17 stycznia 1845 r., gdzie powiedziano, że nie dość jest odgadnąć pewne prawdy, ale trzeba przystąpić do pracy i czynu, a za przykład postawieni są „bracia“, którzy podjęli taką pracę herkulesową nad duszami swemi. Nie śmiem zresztą twierdzić, że wiersz ten rzeczywiście do Krasińskiego jest zwrócony, gdyż całkiem szczególne światło rzucają nań jego kreślenia (Gubr. 1 c. 387); na ich podstawie możnaby przypuszczać jakiś związek z Królem Duchem, a osobą do której zwrócona jest mowa, byłby Mieczysław.

Co do drugiego wiersza, to Kleiner cytując go, opuszcza zakończenie: „A tył wam szpikowali ołowiem Prusacy“, co znacznie osłabia hypotezę. Co gorzej jednak, z brzmienia tekstu Kleinera, (niewiem czy z jego świadomością), czytelnik nabiera wrażenia, że słowa: „niechaj żyje z cudzej pracy“—dotyczą Czartoryskiego, podczas gdy rzeczywiście dotyczą Polski, jak to zresztą niewątpliwie potwierdzają kreślenia („Krzycząc niech żyje Polska“ i t. d.), a odnoszą się do przenoszenia cudzych idej do Polski, lub do prób wskrzeszenia jej drogą dyplomatycznych zabiegów.—Jest natomiast rzeczą prawdopodobną, że Czartoryskiego ma na myśli wyborna przypowieść, którą ogłosił z rękopisu Pini w Ruchu Literackim r. 1926, nr. 9, a do której wrócę jeszcze niżej w tekście.

[7]) Jeszcze wcześniej, bo w Rozm. I, red. 1 (Lamus III str. 249), można znaleźć ślad tego pomysłu; karta konstytucyjna przyrównana tu jest do starożytnego fatum.

rodu właściwą, u siebie byli zastosowali, nie byliby ulegli Rzymowi.

Tego rodzaju pomysł znaczy ni mniej ni więcej jak tylko to, że za ideę narodową uznać należy ideę zrodzoną w natchnieniu poety, który jest wyrazicielem, „Słowem", „Królem duchem" narodu. Idea taka mogła nigdy nie istnieć realnie w historji, mogła nie być nawet przez naród uświadomioną, a jednak jest ona z głębi podświadomości ducha narodowego przez poetę rzekomo wydobytą... Jest to niezmiernie charakterystyczne dla tej epoki, która wszelkiemi sposobami szukała istoty narodowego ducha, przeciwstawiała się w tej intencji pseudo-klasycyzmowi w poezji, prawu rzymskiemu w ustawodastwie, latynizacji w ogóle, szukała czystych niczem jeszcze nie skażonych pierwiastków rodzimości w pierwotnych dziejach słowiańszczyzny, aż wreszcie tutaj u Słowackiego, pod wpływem mistycyzmu chciała ją wydobyć przez intuicję z głębin podświadomości... Jeszcze dziwniejszym jest paradoksalny pomysł, który Słowacki w związku z tem dalej rozwija. Oto duchy starożytnych Greków—i Rzymian, (bo z hellenizmu na całą już starożytność klasyczną znaczenie wizji homerowej rozciąga), drogą metempsyhozy wcielają się we Francji; w demagogach Rewolucji widzi Sł. dawnych Syllów i Marjuszów. I dopiero w tem nowem wcieleniu, zapóźno już, a przeto cofając się wstecz na drodze duchowego postępu, realizują wizję homerową w postaci monarchji konstytucyjnej Ludwika Filipa. Nienaruszalne prawa konstytucji wydają się Słowackiemu analogją „Księgi losu", której sam Jowisz, konstytucyjny król ulega. W sposobie określenia wolności konstytucyjnych widzi Słowacki pogańskość. Jest to ta sama idea, którą poznaliśmy już w „Zborowskim", idea wroga wszelkiej skostniałości prawa pisanego.

Pismo „Do emigracji o potrzebie idei" zawiera najprzód bardzo piękny wywód. jak to naród niemający łączącej go idei jest tylko luźnem zbiorowiskiem jednostek, — potem przechodzi do omówienia podstaw idei polskiej, tkwiącej w dawnej „złotej wolności", którą to ideę własną trzeba wydobyć, odrzucając naśladownictwo wzorów obcych i niższych; kończy przypowieścią mającą ukazać jak przez postawienie idei wskrześnie Polska. Ale o tej idei mówiąc już nie o „złotej wolności" mówi, ale ma oczywiście na myśli — choć pod zasłoną—naukę genezyjską. W ten sposób pismo to jednoczy w sobie wszystkie elementy mesjaniczne, gdzieindziej tylko w rozproszeniu się jawiące. Ale przypowieść końcowa zrozumiałą jest tylko dla wtajemniczonych — czytelnik nieuświadomiony — a więc i ogół emigracji, do którego pismo było zwrócone — przeczuwa tu tylko jakieś mistyczne ogniwo, którego sens jest mu nieznanym. W ten sposób — jako propagandowe pismo polityczne — broszura ta przy wszystkich swych zaletach stylu i piękności wielu myśli zostać musiała bez znaczenia i wpływu.

Ostatniem z pism politycznych Słowackiego jest: „Głos Brata Juljusza Słowackiego do zgromadzonych i w klub zawiązać się chcących Polaków, przedstawiający potrzebę przyjęcia nowej formy konfederacyjnej; (19 marca 1848 r.)".

Gdy po rewolucji lutowej (1848), która obaliła tron Ludwika Filipa, rozpoczęły się za przykładem Francji i w innych krajach Europy ruchy rewolucyjne i zdawało się, że nadeszła pora wyswobodzenia Polski, emigracja zaczęła się przygotowywać do tego dzieła. Za pierwszą potrzebę uznano zespolenie stronnictw, i do tej „koncentracji" przystąpiły wszystkie stronnictwa z wyjątkiem Centralizacji demokratycznej. Dla obmyślenia organizacji tego zespołu wybrano komisję pod przewodnictwem gen. Dwernickiego. Dwernicki prosił, aby każdy, kto będzie miał jaki pomysł, zechciał go przedstawić Komisji. „Wskutek tej zachęty — pisze Szczęsny Feliński—Słowacki, który przyjmował czynny udział w ówczesnych działaniach emigracji, powziął myśl podania swego projektu tymczasowego rządu, i wnet w bliższem kółku pogląd swój w tej materji rozwinął". Ten to pogląd ogłosił w broszurze pod wyżej podanym tytułem. Na końcu tego pisma powiedziano, że na skutek przemówienia J. S. niektórzy bracia zaraz do podpisania aktu konfederacji przystąpili. Akt ten dochował się [8]) i nosi również jak broszura datę 19 marca. Z brzmienia jego wynika, że zawiązana konfederacja miała być nie jakąś tylko wewnętrzną organizacją stowarzyszonych, ale że miał to być zawiązek skonfederowania się całej emigracji a w dalszem następstwie kraju. Tylko wybór wodzów odłożono do chwili, w której konfederacja „stanie w liczbie dostatecznej", t. j. gdy będzie miała znaczniejszą liczbę członków; (na razie było ich tylko siedmiu). Feliński opowiada, że zaraz po tem zebraniu wydelegowany został wraz z Andrzejem Fredrą do gen. Dwernickiego, celem przedstawienia mu projektu konfederacji, i że generał ten projekt życzliwie przyjął i obiecał go w Komisji poprzeć. To się jednakże nie stało, na co użalają się skonfederowani, i na skutek czego, nie czekając aż konfederacja „stanie w liczbie dostatecznej", sami przystąpili do wyboru wodzów dnia 29 marca. Byli nimi: Karol Różycki (jako „brat żołnierz, czyli regimentarz"), Adam Mickiewicz (oczywiście jako „brat kierujący duchem"), i na miejsce pierwotnie proponowanego ks. Czartoryskiego, który wyjechał, Władysław Dzwonkowski (jako „brat administrator, czyli marszałek"). Gdy jednakowoż „dwaj z obranych obowiązku i służby przyjąć nie chcieli", a wobec tego do zorganizowania konfederacji przyjść nie mogło, została ona aktem z dnia 30 marca zawieszona. Akty konfederacji, których jest pięć, noszą niewątpliwie cechy stylu i myśli Słowackiego i łącznie z „Głosem Jul. Słow.", który stanowi pierwszy z aktów konfederacji, jako jego dzieło traktowane być winny [9]).

---

8) Akta konfederacji znajdują się w Muzeum Mickiewicza w Paryżu Wraz z „Głosem brata" J. Sł. jest ich pięć. Wład. Mickiewicz ogłosił dwa z nich — zawiązania i zawieszenia konfederacji—w tomie IV „Żywotu A. M." (aneksy).— W Korespondencji A. M. podano akt wyboru wodzów.

9) W całej tej sprawie konfederacji jest kilka punktów niejasnych. Feliński pisze, że zaraz po zawiązaniu konfederacji, dnia 19 marca, udał się z Fredrą do gen. Dwernickiego a z jego odpowiedzią, powróciwszy do skonfederowanych, dowiedział się, że Mickiewicz znajduje się w Paryżu i otrzymał polecenie udania się niezwłocznie w towarzystwie Fredry do niego, dla zjednania go dla sprawy. Feliński bardzo szczegółowo opisuje tę wizytę, która na nim bardzo silne wywarła wrażenie, po raz pierwszy bowiem, ujrzał Mickiewicza. Ten aprobował formę organizacji, oświadczył jednak, że forma sama nic nie zdziała, i że tylko wspólna idea może jej nadać treść, — tej zaś idei nie widzi. Dlatego udziału swego w konfederacji odmówił —Otóż z jednej strony dokładne *itinerarium* Adama Mickiewicza we Włoszech, które podaje Wład. Mickiewicz w „Żywocie", wyklucza obecność jego w tym czasie w Paryżu, — z drugiej strony niepodobna również, aby dnia 25 marca obrano Mickiewicza

Wkrótce potem, w początku kwietnia, Słowacki wyjechał do Poznania i brał udział w pracach komitetu organizującego powstanie. Jakie tam zajmował stanowisko, nie wiemy; — pewne światło rzuca na to relacja Klaczki i wiersz „Wiwat Poznańczanie“, o którym wspomniałem już wyżej. W listach do Matki, nie wypowiadając się bliżej, przypisuje jednak Sł. wpływowi swemu duże znaczenie. Bardzo być może zresztą, że łudził się w tym względzie.

(c. d. n.) JAN GWALBERT PAWLIKOWSKI

jednym z wodzów konfederacji, jeśli już 19-go udziału odmówił. Wład. Mickiewicz, objaśnia to omyłką pamięci Felińskiego, wizyta u Mickiewicza odbyła się zapewne dopiero później, już po zlikwidowaniu rewolucji, gdyż wtedy jeszcze rzekomo sprawa koncentracji stronnictw, a więc i formy konfederacyjnej, była traktowaną. Zagadkowem jest również, dlaczego nieobecność Mickiewicza nie przeszkodziła obraniu go wodzem, a nieobecność Czartoryskiego uznaną była za przeszkodę obioru. — Sprawa jakoby nielojalności gen. Dwernickiego, który przyrzekł przedstawić na Komisji projekt konfederacji, a tego nie uczynił, być może da się objaśnić w ten sposób, że z relacji Felińskiego Dwernicki wcale nie powziął wiadomości, iż konfederacja została już zawiązaną, ale sądził, że jest to tylko projekt, którego realizacja zawisła od uchwały Komisji. Powzięcie takiej uchwały przedstawiałoby się w danym stanie rzeczy jako przystąpienie do konfederacji poza Komisją powstałej! Konfederaci popełnili oczywiście błąd taktyczny, co dowodzi braku zmysłu taktycznego u Słowackiego, gdyż niewątpliwie on tutaj decydował.

PUSZCZA LUDZKA

Zagadnienie tłumu, które w poprzednim szkicu postawiłem (M. N. zeszyt 29), wymaga rozwinięcia. Odpowiedź, którą podałem, jest krótka: trzeba tłum wcielić w społeczeństwo i w naród. Ale teraz dopiero — w ramach tej odpowiedzi rozpościera się osnowa, na której ma być utkany czynami kilim życia, stanowiący nie myślowy zarys odpowiedzi, ale jej treść istotną, dotykalną. Znamy cel — to już jest dużo, nie znamy jeszcze dróg, do celu prowadzących. Tu jednak zgóry musimy sobie powiedzieć, że dróg niema gotowych. Znajdujemy się w puszczy ludzkiej w położeniu pionierów, którzy sami przed sobą muszą drogę wyrąbywać. W każdym narodzie rośnie gwałtownie jego własna puszcza ludzka. Każda przeto inne posiada właściwości i każda innej oczekuje treści w jednakim, zresztą, sposobie opanowania. Mussolini wprowadził w Europie modę marszów na stolicę. Jednak nie w marszu na Rzym tkwiła tajemnica jego odpowiedzi. Kto tylko marsz naśladuje, może, co najwyżej, zostać marszałkiem, jeśli mu los oszczędzi roli wesołka na zabawie żydowskiej, zwanego „marszelikiem“.

Nie mając dróg, zaopatrzeni tylko w świadomość kierunku, busolę wiedzy i topór woli, musimy przedewszystkiem zapoznać się z życiem puszczy w jej cechach głównych. Wyspiański genjalną sceną rozpoczął swój dramat „Wyzwolenie“. Szary tłum robotników, drzemiący pod ścianami, rozchodzi się do domów. Scena krótka i jakby nie związana z całością, rzucona niby odniechcenia jedną plamą malarską, a z godną podziwu celnością utrafia w sam rdzeń sprawy, o którą tak przelotem, jednem piórem potężnego skrzydła, musnęła. Zniechęcenie, poddanie się losom, bierność, wszystkojedność, szarość, nuda — oto dusza tłumu. Budują, ciągle budują, nie wiedzą co, ani poco budują, nie widzą tego, co budują, ani ich to ciekawi — oto otchłań szarości. Taki jest tłum, gdziekolwiek się porusza, jakkolwiek jest ubrany i jakimkolwiek stylem się wypowiada. Nie dziw, że w tej otchłani szarości, jak w swoim żywiole, nurkują i żerują wszyscy djabli, których piekło na ziemię przysyła. Umieją oni w niej i dla niej zapalać ognie sztuczne i nimi znaki czarnoksięskie na szarem niebie nudy pisać, co wabi tłum—to tu, to tam rozkołysany. A gdy się zdarzy taki dzień — nazwany przez nich „dniem zapłaty“ — i szara otchłań mgieł wyschnie na kopalnianą kurzawkę, pierwsza lepsza zapałka powoduje wybuch otchłani. Takim wybuchem rozsadzono Rosję.

Dziesięciolecie po wojnie światowej bogate jest w doświadczenia na tym polu dokonane. Rosja, Węgry, Niemcy, Italja. Jest co studjować, jest na czem się uczyć. Wykład przedmiotu wielostronny, zależnie od środowiska w rozmaitych przebiegach różnemi uwieńczony skutkami, w Rosji — niemal całkowity, ale to jest widoczne, że wszędzie jedna ręka jedną działa metodą — ta sama ręka tą samą metodą — i wszędzie jeden jej cel przyświeca. W krajach, gdzie otchłań tłumów zanadto przesycona jest roślinnemi, życiodawczemi prądami narodu, tradycji, kultury, do wybuchu nie doszło jeszcze, a może nie dojdzie, lecz łatwo sprawdzić, że djabla robota w nich wciąż temi samemi posługuje się sposobami, tym samym materjałem, temi samemi typami ludzkiemi, tą samą psychologją i w celu zawsze tym samym. Anglja i Francja, Ameryka i Chiny, Finlandja i Polska — oto różnorodne tereny jednej i tej samej roboty przygotowawczej. Tak wielka rozmaitość środowtsk znakomicie ułatwia wydzielenie z nich podobieństwa, raczej — tożsamości w pracy razkładowej, a następnie — ręki, do której wszystkie nici nieodmiennie zdążają. Odkrycie metod tego kłębka, tego kłębu syjońskiego, świat oplątującego, daje wskazówkę do znalezienia kontrmetod. Tak i w ciągu wojny światowej wrogowie wzajem od siebie uczyli się, a niejedna metoda zmuszała stronę przeciwną do stosowania kontrmetody analogicznej.

Wrogowie ludzkości — żydzi — z niemniejszą od Wyspiańskiego trafnością podpatrzyli zasadniczy rys duszy tłumu—nudę pożerającą, w nizinach—bezwiedną i naiwną, w górniejszych sferach — świadomą i cyniczną, lecz tu i tam zarówno do niszczących działań przydatną. Trzeba tylko odpowiednią ilość jej nagromadzić, zamknąć szczelnie, wielkiemu . poddać ciśnieniu, i w odpowiedniej chwili zapalić. Na tych czterech działaniach wspiera się, jak wiadomo, cała mądrość sług żydowskich — masonerji, socjalizmu i komunizmu. Nuda jest zła, zaczajona i mściwa, samolubna i krwiożercza, jak zwierz drapieżny w czasie głodu. Żydowscy przewódcy tłumu karmią ją umiejętnie stałemi dawkami uraz i nienawiści (niedarmo sztandar ich jest czerwonym sztandarem) i podsycają czarnemi nieboskłonami materjalizmu, na których

zapalają, niby zorze polarne, migotliwe miraże złota, władzy i użycia. Jednocześnie zaś niszczą dokoła wszystkie więzie społeczne i wszystkie pola rodzajne ducha ludzkiego, gdzie tłum mógłby odnaleść wyższe sfery swej duszy i stać się społeczeństwem. Więc w pierwszym rzędzie znienawidzonym przedmiotem ich niszczycielstwa stają się — religja, naród, rodzina, tradycja, kultura, praca, prawo, hierarchja, moralność i sztuka, w nich bowiem mieszczą się najczulsze nerwy dostojeństwa ludzkiego.

Obok tej roboty powiększania tłumu i gromadzenia wielkich zapasów nudy, odbywa się niemniej ważna czynność szczelnego zamykania tłumu, aby go z jednej strony zupełnie od społeczeństwa oddzielić, a z drugiej strony — skupić i ścieśnić, jako materjał wybuchowy. Do tego służą odpowiednie nauki i organizacje, wszystkie jedną pieczęcią fanatyzmu znaczone i niby pozytywne, lecz w gruncie rzeczy tem znamienne, że do celów nieosiągalnych zdążające. Przyrodzona owych nauk i celów organizacyjnych nieosiągalność stanowi rękojmię wiecznego wrzenia tłumu, co samo w sobie jest celem kierującego tem wszystkiem rządu żydowskiego. Pozatem wiadomo, że fantastyczność celów i leków działa na tłum czarująco, co zawsze jest podstawą sztuki wszelkich znachorów i magików. Żydzi oddawna znają hypnotyzerską dla tłumu siłę głupiego kazania, obdarzonego cudownym sposobem zbawienia świata. A niepodobna już chyba wynaleść nic głupszego, niż nauki socjalizmu i komunizmu. Masoni, jako pokojowcy i hajduki żydowstwa, bardziej są wtajemniczeni, ale najwyższym stopniem ich mądrości jest cynizm materjalizmu.

Tak nagromadzony i zamknięty tłum należy poddać wielkiemu ciśnieniu warunków i wypadków życia bieżącego. To robi się przedewszystkiem przy pomocy kryzysów gospodarczych, biedy w kraju, oraz zamętu politycznego, społecznego i moralnego. Mamy obecnio w Polsce doskonałą sposobność przestudjowania tej fazy i tej strony działań judomasońskich, a że rozwija się w tej chwili jawnie i łatwo pod oczy podpada, niema potrzeby nad nią się tu szerzej rozwodzić. Jesteśmy zatem w przededniu takiego rozgoryczenia, schaotyzowania i rozpętania tłumu, że można już tylko oczekiwać chwili sposobnej do podpalenia go czy to odwewnątrz w kształcie żagwi rewolucyjnej, czy zewnątrz przy pomocy wojny wschodniej albo zachodniej, przyczem weszłyby w grę czynniki o tyle djablą robotę ułatwiające, że bezpośrednio i z druzgocącą potęgą zagrażające Polsce zmiażdżeniem. Owo „przedednie“ wspomniane może, oczywiście, rozciągnąć się i na całe lata, czego w kategorjach czasu ściśle oznaczyć niepodobna, ale treść zmagania się obu wrogich sobie światów żadnej nie ulegnie zmianie.

W poprzednim szkicu swoim („Zagadnienie tłumu“) zaznaczyłem, jako rzecz główną, że pomiędzy dwoma w kraju obozami walczącemi — narodowym i międzynarodowym trwa wyścig na krótką metę na torze opanowania tłumu. Obóz narodowy w Polsce pracuje niemal wyłącznie na terenie społeczeństwa w kierunku dalszej jego organizacji, co samo przez się stanowi długą metę w sprawie włączenia tłumu w kadry społeczne. Obóz międzynarodowy „pracuje“ na terenie tłumu samego, a na społeczeńswo działa, jak taran — burząco i rozkładowo, co samo przez się stanowi metę krótką. Ponieważ warunki życia tak się układają, że rozstrzygnięcie wyścigu musi na krótkiej mecie nastąpić, więc już to jedno wskazuje obozowi narodowemu na konieczność zwrócenia odpowiedniej ilości swoich sił na teren tłumu. Nie przerywając bynajmniej, ani nie zmniejszając pracy organizacyjnej w społeczeństwie, trzeba nam bezpośrednio wejść w tłum, w puszczę ludzką, aby go opanować i porwać za sobą. Italja miała na to pięćdziesiąt lat czasu, w ciągu którego jej obóz narodowy na tyle okrzepł w ideologji swej i organizacji, że przygotował lawinę, którą Mussoli dźwignią faszyzmu z miejsca poruszył. Polska w gorszem jest położeniu, lecz nie w beznadziejnem. Obok stronnictwa politycznego istnieją w obozie narodowym siły młode, których zapał i świeżość w tym należy obrócić kierunku.

Tłum, puszczę ludzką można wstępnym zdobyć bojem pod warunkiem, że przebojem, szarżą brawurową pod proporcami haseł efektownych przeleci ją z krańca w kraniec jaki oddział z porywającą odwagą i fantazją. Poczem dopiero można tłum odpowiednio nastawić i zorganizować. O ile działa na tłum, owszem, rozstrzygająco logika armat, o tyle żadnej dlań wymowy nie posiadają armaty logiki. One jeszcze zwiększają nudę tłumu i napędzają go ku stronie przeciwnej. Tę naukę powinniśmy wyciągnąć dla siebie z metod przeciwnika, że logikę trzeba mieć tylko dla siebie, a dla tłumu — gotowe, głęboko przemyślane, ale w efektowną i lekką szatę haseł przybrane, popularne maksymy i zawołania. Tam włóczy się nuda, nieprzebrane obłoki, smugi i węże nudy, jak mgły nad moczarami. Zanim przystąpimy do osuszenia i użyźnienia samych moczarów, co uczynić można tylko długotrwałą pracą społeczną, na co, z kolei, w obliczu wroga nie mamy czasu, przedtem należy zwiać i precz odegnać zjadliwe, nieprzeniknione dla słońca mgły nudy, która w puszczy ludzkiej wszelką grzybnię trucizn życiowych hoduje. Skoro naga prawda na tłum nie działa, trzeba ją przybrać w barwne gazy efektów — tych namiastek kłamstwa.

Spójrzmy pod tym, psychologicznym kątem widzenia na pracę, której dokonywa faszyzm w Italji. Uczynił on i czyni w dalszym ciągu wszysto metodami, które przejął od swoich wrogów—masonów i socjalistów, lecz tylko..... w odwrotnym kierunku. Sama przebudowa ustroju politycznego i społecznego w narodzie naszym będzie z pewnością inna, ale metody muszą być te same, o ile bowiem tłum pod względem najgłębszej treści wewnętrznej w każdym narodzie jest inny, o tyle w formie swojej i powierzchni wszędzie jest tym samym tłumem—dzieckiem naiwnem, a w części — łobuzerskim wyrostkiem. Mamy w tej sprawie najbliższy co do czasu dowód w ostatnich wypadkach finlandzkich. Co może być bardziej przeciwstawnego w treści, niż tłum Finlandji i tłum Italji? A jednak formy poruszeń w obu tłumach i formy oddziaływań są jednakowe. Polska nie wyłamie się z pod tego prawa psychologji tłumu. Albo zdobędziemy puszczę ludzką szarżą porywu młodzieńczego, albo biernością i powolnością własną kraj w odmęty zawikłań groźnych pogrążymy.

STANISŁAW PIEŃKOWSKI

NA WIDOWNI

Rzecz o upadku myśli politycznej, jako skutku niewoli.—Cios roku 1815.—O tem, jak to obok starej, budowaliśmy Polskę nową w stylu wschodnim.—Jak się idea polska zmieszała z rewolucją rosyjską?—Napoleon jako wzór, czy ks. Konstanty? — Bismarck o Polsce i Gdańsku.

CHWILA obecna dla przyszłego historyka będzie tem charakterystyczna, że coraz częściej w dyskusji publicznej pojawiać się zaczął zarzut przeniewierstwa Polsce. A że walka, toczyła się między dwoma obozami, zarzut ten odbijano wzajemnie, stąd nastręczać się będzie wniosek, że strony dogadały się do dna rzeczy. Gdy zatarg dochodzi do tego krańca, dalsze współistnienie jest niemożliwe. Bo jedno z dwojga: albo zła wola wchodzi w grę, albo każda ze stron ma inną Polskę na myśli. W pierwszym przypadku—zbrodnia, w drugim—straszne nieporozumienie.

Obie te ewentualności mogą doskonale iść z sobą w parze, ale pierwsza z nich wymyka się z pod dyskusji publicystycznej i bodaj nawet mniejsze ma znaczenie historyczne. Od faktów sprzeniewierzenia ważniejsze są symptomy historyczne trwałych stanów niewiary, owe nieporozumienia o jaźń narodu.

Jeżeli, wychodząc z założenia dobrej wiary po obu stronach, uprzytomnimy sobie takie rzeczy, jak obojętność jednej strony na sprawę granic zachodnich, nienawiść do dzielnic zachodnich, wraz z przerzuceniem specjalnych sentymentów na wschód, sentymentów posuniętych do żądzy wyodrębnienia tych kresów w osobne jednostki państwowe, to mamy przed sobą kompleks uczuć, wyobrażeń i dążeń zupełnie inny od tego kompleksu, który reprezentuje historyczna świadomość Polski. Te dwie świadomości nie są koliskami koncentrycznemi, one mają na myśli dwie różne Polski, nawet geograficznie różne. Ale nie jest to sprawa tylko wyobrażeń o rzeczy; to są dwa różne światy, odmienne formacje psychiczne w stosunku do polskich tradycyj niepodległości.

Gdyby obie strony myślały o tem samem, gdyby obie miały na celu tę samą Polskę, to przecież łatwo byłoby znieść nieporozumienia co do środków działania, co do ustroju i t. p. Tymczasem chodzi o rzeczy głębsze; mija szereg lat zanim walka o sprawy podrzędne, nieraz umyślnie wysuwane, dotrze do istotnego podłoża zatargu. Teraz właśnie dogadaliśmy się do tego podłoża.

Co to jest — zapytuje Polak po namyśle — że kwestje b y t u Polski, już nie formy, ale bytu, tak różnie są pojmowane i odczuwane. Dla obozu sanacyjnego obojętne są zagadnienia odwieczne i zasadnicze granic zachodnich. Gdy o nich mowa, sanacja nie słyszy wołania, jakby ono nie tyczyło Polski. Pomija je z „flegmatyczną wzgardą". W obchodzie rocznicy plebiscytu w Prusiech Wschodnich nikt z tego obozu nie czuje potrzeby wziąć udziału. Tam źle byłoby widziane, gdyby ktokolwiek interesował się Pomorzem; wyrzekną się plaży, aby nie ściągnąć podejrzenia o sympatję dla morza. Dochodzi w tym kierunku przez antagonizm do psychozy.

Mało kto zastanawia się nad tem, skąd się wzięła ta tendencja. Nieraz się mówi o skutkach niewoli, ale raczej w sposobie zwrotu retorycznego. Gdzież są te skutki? Oto w tego rodzaju zjawiskach.

Największy cios w życie narodu polskiego wymierzył Kongres Wiedeński 1815 r., oddając Poznańskie i Pomorze Prusom. Kazano nam radować się wskrzeszeniem imienia polskiego i obszarem dość znacznym, przylegającym do ziem Wschodnich, które obiecywaliśmy sobie wcielić do Królestwa; ale rychło zapomnieliśmy o tem, że Niemcom oddano klucz do Polski. Jakby ktoś odciął piłą wielki pień od korzenia. Drzewo rozłożyście się przedstawiało, ale przecież bez obiegu soków długo nie mogło się zielenić. Myśmy sami to drzewo swoje podpiłowywali, żeśmy o dzielnicy pruskiej zapominali, sądząc, że na tym zaborze rosyjskim można rozwiązać całe zagadnienie niepodległości. Odwróciliśmy się frontem ku wschodowi, a cały mózg wypełnił się jedną myślą, jakby pokonać kordon między Królestwem a ziemiami Litwy i Rusi. Cały system psychiczny tej części Polski opanowany został tendencją wschodnią, tem różną od jagiellońskiej, że nie miarkowaną względami na całość interesów państwowych Polski.

Obsunąwszy się na poziom polityki uczuciowej, co przy nizkiej kulturze politycznej tej dzielnicy było do przewidzenia, podniecani zewsząd w tych uczuciach, mogliśmy się zdobyć na uzasadnienie swego stanu i swych dążeń teorjami romantycznemi, ale nie byliśmy w stanie wznieść się myślą polityczną na tę wysokość, aby widzieć całość Polski.

Poniechawszy dawnych fundamentów zachodnich, stawialiśmy od r. 1815 na gołej ziemi nową budowlę, coraz prostszej uczuciowej konstrukcji, burząc wybuchami uczuć resztki dawnych murów w postaci instytucyj państwowych, aż zrównaliśmy Królestwo z terytorjami „zabranemi", aż uczyniła się budowla zgoła w stylu wschodnim w całym zaborze, aż do granic rosyjskich. Mało tego. Mało nam było ruiny szerzonej przez rządy rosyjskie; dobrowolnie, acz pod wpływem organizacyj międzynarodowych, wdarliśmy się w życie wewnętrzne Rosji, pod hasłami rewolucyjnemi rosyjskiemi. U góry niszczyła psychikę polską ugodowość konserwatystów, u dołu — miłość ku rewolucjonistom rosyjskim.

Straciliśmy równowagę dawnej samodzielnej myśli politycznej, zatraciliśmy nawet granicę między Polską i Rosją. Ostatnie pokolenie rewolune z początku tego stulecia było już tylko z nazwisk polskiem; rewolucję w Polsce robiło za „naszą i waszą" wolność w duchu czysto rosyjskim.

Otóż to pokolenie pokroju wschodniego resztę bomb, jaka mu została z tamtych działań, postanowiła spożytkować w wolnej (niespodzianie dla niego wolnej) Polsce, na zrobienie dla siebie miejsca sterniczego. I to jest istota naszego obecnego kryzysu.

Pokolenie to jest niezdolne pojąć, czego od niego chce stara Polska, od korzenia odradzająca się. Dziwi się: mamy dźwigać współczesność na fundamenty dawne? Nie może sobie przypomnieć dziejów, obudzić w sobie instynktów historycznych. Poczęło się ono bowiem na glebie międzynarodowej niedawno, upodobania ma we wschodnich przestworzach. Pieni się na Sowiety, że zamknęły Rosję kordonem; tam je ciągnie pęd.

Dla ludzi tego obozu oczywiście front polski, jak teraz się przyznają, leży na wschodzie. Nie-

zdolni są do zatrudnej dla nich koncepcji Polski historycznej. Dla nich Polska się zaczęła koło r. 1830. I tam sięgają myślą z trudem, podciągani przez historyków, pragnących związać nasze czasy z czasami Łukasińskiego, któreby ich nobilitowały. Właściwy ich ród wiedzie się z rewolucji rosyjskiej, przez Austrję ostatnio wspomaganej, w chorągiewki ułańskie ubranej. Rewolucja teraz stała się bezprzedmiotowa, z głowy wywietrzała, ale pozostał pęd wschodni, pozostała szkoła wschodnia, aż do śmieszności kultywowana.

Dla nich przecież ideałem władztwa i jego manjer—jest myślicie może: Napoleon, Kościuszko, Dąbrowski?—Nie, książę Konstanty. Dąbrowski—to rozum stanu, Kościuszko—to miłość, Napoleon—to prawo. Przeciwieństwem tego wszystkiego razem był wschodni ks. Konstanty. Czy on się ceremonjował z prawem, z sejmem, z moralnością, godnością ludzi? Czy nie miał koło siebie Zajączka, namiestnika, który mu gorliwie pomagał. Czy nie miał całej sfory sobie oddanej?

Nie trudno w Polsce, gdy się ma siły, nawet w imię takich ideałów, zgrupować koło siebie motłoch polityczny, nie umiejący myśleć kategorjami dobra narodu. Ale dyskutować z nim — stracony zachód. Takie pokolenie musi się samo wyniszczyć pod wschodnią ścianą płaczu. W czasie wojny ci ludzie wyrażali zdziwienie, że komuś może chodzić o dostęp do morza; wyobrażali sobie, że walka o te rzekome dobra jest zachcianką, wymysłem jakiejś partji; nie umiano zrozumieć, że istnieją pewne objektywne nieodzowności, które musi mieć na celu myśl polityczna.

Wrogowie Polski, Niemcy, wiedzą lepiej od nich, czem jest dla nas Pomorze. W r. 1894 Bismarck w przemówieniu swojem do deputacji Niemców z Prus Zachodnich, wypowiedział się w ten sposób:

„Gdańsk dla polskiego państwa, któreby się koncentrowało w Warszawie, jest jeszcze bardziej naglącą potrzebą, aniżeli Poznań. Ten bowiem — tak sobie pomyślą Polacy — im nie ucieknie, bo tam jest ich arcybiskup, ale Gdańsk to jest pierwsze miasto, które przedewszystkiem musi państwo warszawskie zająć na wybrzeżu morskiem, i nie spocznie, aż tego dokona. Jeśliby nas Niemców spotkał pogrom w Europie, to my Niemcy zachodnio-pruscy będziemy w Gdańsku jeszcze bardziej zagrożeni, aniżeli w Poznaniu".

Bismarck, patrząc na dzielność żywiołu polskiego w zaborze pruskim, wiedział, że tak będzie. I nie mylił się. Polska prawdziwa, nie ta z przygody w latach upadku, to rozumie, zwłaszcza nowe pokolenia polskie, które zmiotą cuchnący pomiot złych dziejów.

Dziecinnym szczebiotem jest gadanie o państwie, jako najwyższej racji myślenia politycznego kiedy się nie rozumie elementarnych podstaw istnienia państwa. Bismarck wiedział, czego musi domagać się naród polski, ale wieleby dał za to temu, ktoby sprawił, żeby się ów naród przy tem nie upierał. Dobrze pracował do spółki z Rosją i z Austrją nad tem, aby się myśl polska na tym punkcie obłąkała. Przez odłączenie Poznania i Pomorza od Warszawy na czas tak długi, przy odpowiedniem oddziaływaniu, wiele w tym względzie wskórano w obu zaborach.

I to jest jedna z cięższych dolegliwości, nabytych w niewoli.

ZYGMUNT WASILEWSKI

WYCHOWANIE NARODOWE

JESZCZE „ZRĄB"

MAM zamiar scharakteryzować tu krótko drugi numer „Zrębu", kwartalnika, wydawanego przez „sanacyjne" nauczycielstwo, a raczej, powiedzmy ściślej—dla sanacyjnego nauczycielstwa. Obawiam się co prawda, czy nie za wiele zainteresowania poświęcamy temu mało poczytnemu wydawnictwu. Pierwszy numer wydany około Nowego Roku, wywołał tak małe zainteresowanie w prasie, że jako jedyne echo, redakcja Zrębu przytacza nasz artykuł (w numerze 9 „Myśli Narodowej"). Artykuł ten wywołał ogromną irytację jakiejś p. J. w „Zrębie". Mojem zdaniem niesłusznie. Bo powodem, dla którego wogóle zajmujemy się „Zrębem" jest poprostu szczera ciekawość, co też nowego mają do powiedzenia nauczycielstwu „półoficjalni" ludzie, zgrupowani w Zrębie? Krótka odpowiedź na to pytanie musi brzmieć: „Niewiele".

Trzeba przyznać, że drugi numer jest mniej napuszony, niż był numer pierwszy; może jest to odpowiednikiem mniejszej pewności siebie dzisiejszej sanacji. W każdym razie ze względu na tendecje półoficjalne nowego kwartalnika warto tu omówić niektóre artykuły, jako charakterystyczne.

Takim jest np. dalszy ciąg artykułu p. Hanny Pohoskiej, p. t. „Humanitaryzm i nacjonalizm w nauczaniu w Europie powojennej". P. Pohoska jest znaną specjalistką od gromienia nacjonalizmu w nauczaniu historji. Zabiera się do tego z pewnego rodzaju *quasi* naukową metodą. Robi się to tak: wychodzą teraz staraniem różnych kół masońskich pod protektoratem Ligi Narodów i bez jej protektoratu rozmaite wydawnictwa, mające wykazać ustawiczny postęp idei pokoju, oraz cofanie się nacjonalizmu w nauczaniu. Zwłaszcza w nauczaniu historji. Szczególnie zaś ma się to objawiać w nowych podręcznikach historji. Więc p. Pohoska streszcza różne protokóły konferencyj genewskich i niegenewskich, różne ankiety pacyfistyczne, wydawane w różnych krajach, streszcza wielce objektywnie i z całą powagą te zgoła tendencyjne książki i broszury, poczem nieuprzedzony czytelnik dochodzi do przekonania, że propaganda pacyfizmu w szkolnictwie potężnieje z roku na rok, że zwłaszcza historji uczy się na całym świecie w duchu pojednania narodów, i że tępienie nacjonalizmu należy wprost do obowiązków przyzwoitości w nauczaniu. Wystarczy przeczytać te dane o postępach pacyfizmu w Niemczech, które autorka zestawia pracowicie na str. 171 — 172 przeważnie na podstawie książki Reimanna *„Gutachten ueber die deutschen Geschichtslehrbücher"* i przejrzeć potem to, co o istotnym charakterze książki Reimanna napisał Hajewicz w swym artykule p. t. „Propaganda pacyfizmu w wychowaniu" („Myśl Narodowa", nr. 10 — 13 z r. b.), żeby zrozumieć wartość artykułu p. Pohoskiej. Wprawdzie autorka zastrzega sobie na wstępie późniejszą krytykę źródeł, ale bodaj że sam sposób streszczania przesądza w tym wypadku krytykę. Przesądza ją zresztą i tytuł artykułu, przeciwstawiający nacjonalizm — humanitaryzmowi.

Także w artykule o „Nowych prądach wychowawczo-obywatelskich w Japonji" p. Pohoska usiłuje stwierdzić, że w Japonji tendencje wychowawcze są podobniusieńkie do tendencyj naszej

dzisiejszej oficjalnej podagogiki: „zwrócone są jednem ostrzem przeciw propagandzie bolszewickiej, drugiem—przeciw fanatyzmowi nacjonalistycznemu".

Zabawny jest artykuł p. Władysława Sieroszewskiego, p. t. „Wczoraj i jutro polskiego harcerstwa". Jak wiadomo, p. Sieroszewski jest od roku generalnym inspektorem harcerstwa z ramienia ministerstwa oświecenia. Otóż ów oficjalny „opiekun" harcerstwa polskiego przedstawia jego stan obecny w tak ponurych barwach, że wreszcie sam sobie stawia pytanie: „Czy należy popierać taką organizację? Czy raczej nie rozbić jej, a na jej miejsce budować od początku co innego?" Ładny opiekun, niema co mówić.

Wprawdzie na to pytanie młodociany radca ministerjalny odpowiada bohaterskiem „Jednak nie!", ale zaraz niżej charakteryzuje poddaną swej pieczy organizację, określeniem: „harcerstwo nie jest szkodliwe, ale nie jest tak pożyteczne, jakby mogło być" (str. 236). Nie jest szkodliwe! W pół-oficjalnej enuncjacji oficjalnego nadzorcy i opiekuna harcerstwa nie jest to zbyt zachęcające.

Interesujący dla koncepcji naszych sanacyjnych „państwowców" jest drobny wywód tegoż p. Sieroszewskiego w odpowiedzi na pytanie: „Czemu powinno służyć Harcerstwo?" Autor chce „śmiałej odpowiedzi" na to pytanie, ile że użyte w przyrzeczeniu harcerskiem słowa: „służyć Bogu i Ojczyźnie" i t. d. nie wystarczają mu, jako podstawa programowa.

„Śmiała odpowiedź" ma więc brzmieć:

„Państwu i nie tylko Państwu, ale i według rozumienia Państwa", a dalej:

„Oczywiście Państwo nie może być utożsamione z tym, czy innym urzędnikiem, czy nawet ministrem. Ale siłą rzeczy musi być utożsamione z panującym kierunkiem rządowym. (Str. 225).

Oto próbka „państwowości" sanacyjnej! Harcerstwo ma służyć państwu, to znaczy zdaniem p. Sieroszewskiego — ma służyć poprostu każdemu rządowi.

Jeszcze parę takich mądrych artykułów, a może i radca Sieroszewski „skończy się" w harcerstwie; będzie to nawet zdaje się, w interesie „panującego kierunku rządowego".

Interesującą nowością są wreszcie z Zrębie publiczne sprawozdania z oficjalnych zjazdów dyrektorów i wizytatorów szkół średnich, nie pozbawione kadzideł na cześć „możnych tego świata", oraz ataków przeciwko (bardzo nieśmiałym zresztą) objawom jakiejś opozycji na zjazdach. Nazywam to interesującą nowością, bo dotychczas nie było w zwyczaju omawiać krytycznie oficjalnych konferencyj szkolnych na łamach prasy.

Skoro jednak Zrąb zaczął...

W. ZAWADZKI

NAUKA I LITERATURA

POCHWAŁA NIEPOPRAWNOŚCI

ZDANIE Shawa, że „Anglik nie może ust otworzyć, aby się nie naraził na nienawiść i pogardę drugiego Anglika", można *mutatis mutandis* zastosować i do nas: Polak nie może ust otworzyć, aby się nie narazić na kpiny i śmiech drugiego Polaka. To też lwowianin, przeniesiony do Warszawy, uczy się na gwałt „języka warszawskiego", a poznańczyk, najbardziej i najniemiłosierniej przekpiwany z racji swego języka, pragnie nabrać akcentu małopolskiego—i teraz naprawdę staje się śmieszny. „Poprawnościowcy" znów pragnęliby zrobić z języka „eunucha w IV stopniu służbowym, z zaopatrzeniem na starość i wysługą lat", bo tego wymaga logika.

Znalazł się jednak ktoś, który na przekór wszystkim „papugom" i „poprawnościowcom" postanowił wygłosić „pochwałę niepoprawności", uzbrojony w solidne wiadomości językowe, a przedewszystkiem szczery i zapalony miłośnik bogactwa języka polskiego. Jest nim Stanisław Wasylewski.

Z właściwem mu ciepłem i serdecznością, bezpośredniością w stosunku do czytelnika, wprowadza nas autor w świat rodzimego języka, staje w obronie tych wszystkich szkalowanych i prześmiewanych słów i powiedzonek, wyjaśnia z humorem ich pochodzenie, właściwości, prawo do bytu. T. zw. niepoprawności języka stanowią główną część nowej rozkosznej, przemiłej książki Wasylewskiego p. t. „Na końcu języka", pięknie wydanej u Wegnera w Poznaniu.

Szeroka i bogata jest dziedzina odrębności i rozmaitych „niepoprawności" językowych. „Wielkopolska to przepyszny rezerwat językowy. Jak limby i wiązy w parku natury, jak żubry i łosie, kozice i kosodrzew, tak tutaj żyją sobie w najlepsze i kręcą się w rodzinnej mowie powiedzonka, które myśmy w centralnej Polsce odesłali dawno do lamusa literatury", (grom, miech, kierz, skopowina i in.). Rozdział p. t. „Nieprawdaż" jest poświęcony tym rozmaitym powiedzonkom i wyrażeniom wielkopolskim, które tak do wesołości pobudzają małopolan i królewiaków.

Wasylewski poucza wogóle prześmiewaczy, że cały szereg tych właśnie komicznych dla nich wyrażeń, to częstokroć zabytki zygmuntowskiej polszczyzny. Wielkopolanie więc nie mają czego się wstydzić i nietylko powinni używać owych wyrażeń, ale i bronić ich przed zanikiem.

Z tym samym apelem zwraca się autor do lwowian, (którzy przecież po polsku mówią „pełną piersią, z całego serca) w „Rozmowie z papugą" i rozdziale „Hallo Łyczaków". Niemiłosiernie kpi Wasylewski z lwowianki, która się w Warszawie wyparła kminkowej zupy dla warszawskiej czerniny, która swe włosy teraz kręci żelazkiem a nie rurkami, prochów już nie ściera, a miast łóżko ścielić je rozbiera. Autor poucza nieszczęsną „papugę", że niema najmniejszego powodu wyzbywać się swego lwowskiego języka, gdyż właśnie różnorodność djalektów świadczy o wielkości Polski, a „odebrać językowi jego koloryt, to tak jak utlenić blondynkę". „Więc trzeba języka lwowskiego mądrze bronić przed zdewaluowaniem". Warszawy do obrony swych odrębności zachęcać nie trzeba, bo to ona przecież narzuca swój język reszcie Polski. Jest to „zemsta Warszawy" za to, że w roku 1513 żacy krakowscy prześmiewali swych kolegów z Mazowsza.

Walka o supremację językową toczy się oddawna przedewszystkiem między Warszawą a Krakowem. „Kto zwycięży?". Warszawa, przyznaje autor, wobec czego zachęca czytelników do zaznajomienia się z językiem warszawskim, z warszawską „akomanją" i jej skutkami.

Książka Wasylewskiego jest niewyczerpaną kopalnią odrębności językowych, poszczególnych dzielnic. Autor wybrał najbardziej charakterystyczne przejawy tego partykularnego słownictwa, takie, które źródło swe mają albo w dawnej polszczyźnie, albo powstały niewiadomo skąd, albo są nowotworami wskutek analogji, czy też przeniesione z zaborów i przerobione na język polski, jak owe tutki i gilzy, odrębności pozostałe wskutek rozmaitego używania przyimków, przedrostków, końcówek. We wszystkiem tem odzwierciedla się charakter i temperament mieszkańców poszczególnych krain Polskich. Wyrażeń tych nie należy tępić, bo „słów, które nas łączą, jest bardzo wiele, a takich które nas dzielą malutko, na palcach je policzyć", a te, któremi się różnimy, nie przeszkadzają nam zupełnie, byśmy się zrozumieli.

Książka Wasylewskiego nie wyczerpuje się bynajmniej na omówieniu odrębności językowych. „Z powodu

pary spodni" dowiaduje się czytelnik, jak to moda i ubiór wpłynęły na nasze słownictwo, czemu zawdzięczają swe pochodzenie takie słowa, jak: tuzinkowy, wyniosły, tupet i in. Dzieje niektórych piosenek popularnych, oraz ciekawe rzeczy o imionach polskich są przedmiotem dwóch innych rozdziałów książki. Specjalnie serdeczną i pełną szacunku nutą odznacza się rozdział p. t. „Pigmaljon z Gontyny", poświęcony prof. Nitschowi, który wszerz i wzdłuż przeszedł Polskę, badając odrębności językowe naukowo, a który obecnie pracuje nad monumentalnem dziełem, polskim atlasem językowym.

Bogata i przemiła książka. Każdy znajdzie w niej coś, co mu specjalnie przypadnie do serca, rzeczy przyjemne i pożyteczne, poważne uwagi i pouczenia wypowiedziane z subtelnym humorem. Przyczyni się ona też z pewnością do głębszego zainteresowania się językiem, który według słów prof. Rozwadowskiego, „jest tak niesłychanie ciekawym i podziwu godnym wytworem duszy ludzkiej i takiem arcydziełem kultury, że nie przystoi człowiekowi zajmować wobec niego stanowiska czysto użytkowego. I wszyscy mają doń prawo, wszyscy są w języku twórcami, artystami i pracownikami". Wszyscy więc powinni dokładnie poznać bodaj swój język.

Książka Wasylewskiego jest nęcącą i kuszącą zachętą do tego dla wszystkich tych, którzy sobie dotąd nie zdawali sprawy z braku swych wiadomości na tem polu — albo których odstraszały zbyt uczone wywody. Dowcipne wywody Wasylewskiego ułatwią to przejście.

Lubliniec

A. JESIONOWSKI

RUCH WYDAWNICZY

Powieść Stanisława Wyrzykowskiego „Moskiewskie gody", trylogja, wydana nakładem Domu Książki Polskiej w Warszawie, jest rezultatem pracy erudycyjnej, historycznej, jednak pozbawionej „ducha historji". W trzech tomach: Wilki pod Moskwą, Zwycięzkie Słońce i Krwawy Zmierzch opowiada autor dzieje Dymitra Samozwańca, który wraz z swą żoną Maryną, córką magnata Mniszcha, a z pomocą rycerstwa polskiego zawładnął przygodnie tronem carów. Zdarzenie to kusiło niejednokrotnie wyobraźnię poetów. W naszej literaturze Adolf Nowaczyński w swym dramatycznem widowisku „Dymitr Samozwaniec" dał barwny, pełen teatralnej dynamiki, obraz kultury polskiej i rosyjskiej, i żywą na tle dworskiego średniowiecza postać awanturnika—Kabotyna, w niezapomnianem na scenie wykonaniu Ludwika Solskiego. Powieści p. Wyrzykowskiego, znanego dotychczas jako poprawnego tłumacza dzieł Edgara Poe i Conrada, „Moskiewskie gody", mimo przerostu kronikarskich szczegółów, i obfitej, ruchliwej akcji, brak suggestji, która czytelnikowi mogłaby narzucić wizję rozsnuwanej fabuły. Psychologję osób cechuje sztuczność, marjonetkowość. Również zawodzi nie zawsze szczęśliwie i potrzebnie archaizowane słownictwo utworu.

*

Książka Marji Grossek-Koryckiej „Supremacja zła, Synteza w spółczesności, Medytacje", wydana po śmierci autorki przed kilku laty zyskała uznanie krytyki, nie mniej jak wtedy, gdy w artykułach publicystycznych, fragmentarycznie, w erze dogasającego pozytywizmu się ukazywała. Obecnie z Funduszu Kultury Narodowej, na 393 stronach, wydaną została na nowo, a nie bardzo by się można upierać, czy ponowne jej wydanie było rzeczą konieczną. Pełna najwznioślejszych ideałów ogólno-ludzkich walczy o te ideały rzekomo poetycką, sentymentalną prozą. W imię wiary rozprawia się z szatanem. Mężnie polemizuje z naukami Darwina, Renana, Straussa, Nitzschego. Zna Bergsona, Jamesa i Steinera, traktując tych i tamtych mniej więcej w jednej płaszczyźnie. Tymczasem szatan zwątpienia i negacji, wieczny, ale coraz inny i coraz sprytniejszy, dawno przestał być groźny. Co było u tych pisarzów dobrego, tak z rezultatów poznawczych, jak ich metody stało się wartością powszechnego dorobku cywilizacji, a modne w swoim czasie dzieł ich tendencje pomnożyły archiwa haseł i frazesów. Książka promienieje szlachetnością serca, ale z swej roli programowej daje wrażenie mdłe, naiwne, spóźnione. Naukowość jej obfita, nawet wszechstronna, jest naukowo za mało ważka, dyletancka, pretensjonalna. Chyba ta książka zdać się może jako lektura popularna, bo ostatecznie, płynnie i mile mówi o rzeczach, o których wiedzieć nie zawadzi.

*

Pytał się profan literata, czy trudno napisać książkę. Napisać łatwo — odpowiedział — ale sprzedać trudniej. — Ale bo też cywile nie umieją sprzedaży zorganizować! Tak się robi, jak poniżej opisany fakt poucza.

Do jednego z naszych przyjaciół zjawił sie źle poinformowany major W. P. (w służbie czynnej, nie emeryturowany!) i zaproponował, jako „swemu człowiekowi", aby się zapisał na wydawniciwo „Pism, mów i rozkazów Józefa Piłsudskiego". Cena 96 zł. Lista prenumeratorów wydrukowana będzie w złotej księdze. Jak zapewniał, już się zapisało 40,000 osób. Czysty zysk przelany będzie do funduszu, który ma być ofiarowany Piłsudskiemu na zwalczanie szpiegostwa. Lista jeszcze nie zamknięta; liczmy, że się wpisze hołdowników 50,000. To, co wpłacą, wyniesie 4,800,000 zł. Bagatelka, jak na społeczeństwo tak zamożne! Ale czyż nie warto za 96 zł. nabyć choćby tylko spis z adresami 50,000 wielbicieli talentu Piłsudskiego? Sam ten spis zajmie, lekko licząc, 500 stron druku, a więc gruby tom, jak księga telefoniczna. Dzieła obejmą twórczość pisarską i krasomówczą Piłsudskiego od r. 1893 do maja r. 1926. Najweselsza tedy twórczość znajdzie się w serji następnej. Między rycinami będzie ów talerz historyczny.

Można więc książkę sprzedać, tylko trzeba... wprzód zawładnąć (w maju) wielką organizacją państwową... Sposób prosty.

„Za jedne 96 zł. można się uśmiać"...

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Nakładem wydawnictwa „*Mercure de France* wyszedł nareszcie zapowiadany od bardzo dawna szósty tom dzieł zbiorowych Juljusza Loforgue'a. Kosztuje 25 franków. Zawiera cykl artykułów o Berlinie, (Obyczaje dworu i miasta) nowelę p. t. „*Une Vengeance a Berlin*" i wreszcie tekst notatnika poety z czasu jego pobytu w Niemczech. Autor „Morałów Legendarnych" spędził tam, jak wiadomo pięć najważniejszych lat życia. Przybył do Koblencji 29 listopada 1881 r., jako młodzieniec dwudziestojednoletni, zaangażowany na dwór cesarzowej Augusty w charakterze osobistego lektora. Posadę ową opuścił 10 września 1886 r. na rok przed śmiercią. Przez te pięć lat (nie licząc urlopów wakacyjnych, podczas których odwiedzał rodzeństwo w Tarbes i przyjaciół w Paryżu) obowiązki zmuszały go do perjodycznego przenoszenia się razem z dworem z Berlina do Koblencji, stamtąd zaś znów do Baden, Poczdamu, Homburga, Wiesbadenu i Konstancji.

W poetyckich dziełach Laforgue'a z owej epoki („*Complaintes*", „*Imitation de Notre-Dame-La-Lune*", „*Moralites Legendaires*") życie niemieckie nie odzwierciadliło się prawie wcale. Natomiast każda stronica tomu wydanego obecnie życiu owemu jest poświęcona. Cykl artykułów objętych wspólnym tytułem: „*Berlin la cour et la ville*" pisany był dla zarobku w ostatnich miesiącach życia poety. Tylko część tych artykułów zdążył Laforgue opublikować. Pomimo dorywczości z jaką zostały rzucone na papier i pomimo, że powstały w roku 1886 — czyta się je z prawdziwą rozkoszą. Nie z taką, jaką nam dają dzieła poetyckie, ale z taką, jaką sprawia lektura dobrych pamiętników. Nowela p. t. „*Une vengeance a Berlin*" należy do najsłabszych dzieł Laforgue'a. Napisana była, zdaje się, wyłącznie w celach zarobkowych i prawdopodobnie z tego powodu autor, ogłaszając ją drukiem, zamaskował się pseudonimem Jean Vien. Aczkolwiek jednak utwór ten ani się umywa do „Morałów legendarnych"— nie brak mu palet usprawiedliwiających pomieszczenie go w wydaniu „Dzieł kompletnych" bezpośrednio przed notatnikiem osobistym poety, nie przeznaczonym przecież wcale do druku, stanowiącym jednak dla wielbicieli Laforgue'a bardzo miłą i cenną pamiątkę. Książkę opatrzył wstępem i adnotacjami p. Jean Aubry, jeden z najbardziej zamiłowanych laforgistów.

*

Jedną z najlepszych książek dla dzieci jest niewątpliwie zbiorek powiastek dziecinnych „*Veintiséis cuentes infantiles*" wydany w Madrycie. Antonio Robles autor miłej książeczki w trzech tomikach włożył wswoją pracę tyle stara-

nia i zawarł w niej tyle piękna i zmysłu prawdziwie literackiego, tak odbiegającego od powodzi banalnych i bezwartościowych książeczek dziecinnych, że z rozkoszą przeczyta ją człowiek dorosły, czując się w chwili czytania jakby również dzieckiem. Autor wnika w duszę młodego czytelnika, nie moralizując bynajmniej, wzbudzając do siebie i do tego co mówi tem większe zaufanie.

*

O przesileniu w **młodej generacji poetów czeskich** poczyna się już mówić i pisać z całą otwartością. Coraz liczniejsi krytycy zarzucają jej brak męstwa i pewną skłonność do kobiecej kokieteryjności. Jednostronnie traktowany poetyzm się przeżył, piękna forma sama w sobie nie wystarcza a treść, idea, problem przedstawiają się wśród młodych poetów nader blado, niewyraźnie. Żadna z grup literackich nie zwyciężyła tak odrazu, jak obecna, lecz żadnej nie zagrażał też tak przedwczesny upadek.

*

Stagnacja, zapoczątkowana na rynku wydawniczym czechosłowackim przez zawieszenie starego tygodnika ilustrowanego „*Zlata Praha*“ i skasowanie dobrego tygodnika artystycznego „*Cesky Svet*“, trwa w dalszym ciągu. I innym pismom literackim zagraża ten sam los. Fakt ten napawa sfery literackie wielką troską. Dotychczasowe ankiety doszły do wniosku, że trzeba całkowite zainteresowania młodzieży skierować na inną niż ostatnio linję. Innego wyjścia niema.

SZTUKI PLASTYCZNE

CICHE BANKRUCTWO

Po wojnie światowej zjawiła się w Polsce nieliczna ale hałaśliwa gromadka artystów i teoretyków sztuki, którzy pod przewodnictwem żydów opanowali rynek artystyczny w tem przeświadczeniu, że w samej sztuce czynią rewolucję treści, i formy. Przed oczami ogółu polskiemi nazwiskami swojemi zasłonili kierowniczą gromadę żydów, ci zaś udzielili im niezawodnych sposobów opanowania rynku—reklamy, demagogji, bezczelności, poparcia ze strony międzynarodówek, oraz umiejętności zdobywania pieniędzy. Po dziesięciu latach niesłychanego w dziejach sztuki, cyrkowego widowiska, w szeregach polskich jego uczestników nastąpiło całkowite załamanie się i rozproszenie. Nerwy Polaków, nawet najmniej wybrednych, nie wytrzymały długotrwałego oszustwa. Żydzi jednak, dbając o siebie, nie mogli dopuścić do zakończenia sprawy tak hałaśliwego, jak był jej początek. Znalazła się na to rada w postaci znanego czarnej giełdzie cichego bankructwa.

Na rynku sztuki pozostali żydzi. To był dla nich od pierwszej chwili jedyny cel całego „interesu“. Zdawałoby się, że razem z upadkiem samej, przez dziesięć lat kręconej „idei“ upadła również sztuka kryptożydowska. Tak jest. Ale nie upadli żydzi. Ani na duchu, ani na ciele. Najtłustsza w ich zespole masa upadłości p. Ajzyka Słonimskiego w dalszym ciągu chodzi na dwóch nogach, trzecią poprawia binokle, a czwartą pisze bez przerwy. Co się stało? Właściwie, nic się nie stało. Polaków trochę zemdliło, więc poznikali. Najmie się innych, młodszych. Już się zgłaszają. Tych nakręci się się na inny ład. Rynek sztuki udrabikuje się nowemi dekoracjami, wnętrza nowemi sprzętami się ufryczuje, ale panami rynku zostaną nadal Kwiprokwoki tutejszego Centrogolusa. Przez samych Polaków wprowadzeni na rynek wśród takich fanfar i ryku, nie ustąpią z niego dobrowolnie. A cichym bankrutom zamknęli nawet dostęp do rynkowych megafonów.

Nie mamy potrzeby litować się nad losem cichych bankrutów. Zbankrutowali tak cicho, że sami własnego krachu nie dosłyszeli. I plączą się dalej, gdzie kto może, z resztkami swoich artyzmów i teoryj. Żydzi w obu tych dziedzinach dobrze na nich zarobili, ale ze szczególną siłą nabytego rozpędu procentuje im teorja sztuki, jako rzecz najbardziej gadatliwa, a w niej — idea zwalczania sztuki narodowej, jako rzecz największą dawką fanatyzmu zatruta. Puszczeni samopas cisi bankruci w rodzaju p. Chwistka, natknąwszy się bezpośrednio na życie, muszą bezustanie wprowadzać do swoich teoryj poprawki, a do poprawek jeszcze nowe poprawki, z czego wytwarza się zamęt zamętów, albowiem raz otrzymanych podstaw ideologji swojej dotykać nie śmią, ale ideja zwalczania sztuki narodowej pozostaje w nich nienaruszona, zawsze tak samo nieprzemyślana i dzika, zawsze w tym samym stopniu fanatyczna, w jakim ją żydzi zastrzyknęli. Niema siły, którąby mogła oderwać od duszy głupstwo, sklejone z nią fanatyzmem.

I rzecz dziwna... Tu właśnie gdzie cichy bankrut najmniej jest wypłacalny, bo rozporządza jednym tylko pomiętym i brudnym, bezwartościowym papierkiem, tu jest on najbardziej wyniosły, bezczelny i opryskliwy. Najbłahszemu zagadnieniu z zakresu estetologji gotów on poświęcić niewspółmiernie wielką ilość uwagi i dobrej woli, ale gdy trafi na sprawę sztuki narodowej, zbywa ją śmiechem i nieodmiennie tym samym papierkiem z „ułanem i dziewczyną“. Nie potrudzi się nawet, żeby ten symbol wytarty własną urozmaicić pomysłowośctą, bodaj na jakiegoś „leguna i brzanę“ zamienić, nie mówiąc już o myślowem jego rozwinięciu. Nie. W jakim stanie ów papierek otrzymał od Jotesa czy Firułkesa — z malunkiem ułana i dziewczyny, w takim go wtyka pod nos każdemu, kto o sztuce narodowej nadmieni. I z punktu uważa siebie za zwycięzce. Spór, który zazwyczaj jeszcze się nie zaczął, bo mu zaledwie teren tematu wytknięto, nasz cichy bankrut rozstrzyga zgóry jednem błyśnięciem magicznego papierka z ułanem i dziewczyną.

Można tu podziwiać nietylko siłę fanatyzmu w samem zaślepieniu, ale i jego czynność samozachowawczą. Gdyby nasi cisi bankruci, o sztuce piszący, tego papierku magicznego nie posiadali, musieliby przy pierwszej sposobności zagadnienie sztuki narodowej rozciągnąć na warsztatach swojego myślenia, a wtedy, jakkolwiek te warsztaty działają, okazałoby się, że sprawy lekceważyć nie można, bo ma ona za sobą dostateczną ilość argumentów naukowych, którym należałoby równie naukowe przeciwstawić. I mogłoby się zacząć niebezpieczne dla żydowskiego fałszu myślenie bankrutów. Magiczny papierek zapobiega temu stanowczo. A że jednocześnie zachowuje od trudów myślowych, mile go widzą i chętnie używają ci, którym myśli dopiero z obfitości siódmego potu się rodzą. Biedni ludzie. Trudno ich winić o magję i zabobon, skoro to im takich oszczędza męczarni. Dość już napocą się nad formą i treścią, nad przenośnią i porównaniem, nad tuzinami izmów, które namełł czerwony młyn nowej sztuki i świat nim zapylił... Mieliżby jeszcze pochylać czół nad tak politycznem, partyjnem, endeckiem, kołtuńskiem zagadnieniem, jak sztuka narodowa? Tknąć mu pod nos ułana i dziewczynę!

Nie chciałbym, żeby czytelnik posądził mnie o zbytnie upraszczanie i ciasne usymbolizowanie sprawy, muszę przeto z osobna i wyraźnie zaznaczyć, że istotnie i bez reszty ludzie, o których mowa, w taki właśnie sposób, z lekka, mimochodem i z wysoka zagadnienie sztuki narodowej rozstrzygają. Dosłownie — ułanem i dziewczyną. I to każdy z nich bez wyjątku, schematycznie i odruchowo. A najciekawszą osobliwością tego pseudo-argumentu jest całkowita jego nieobecność u teoretyków strony przeciwnej. Jest on w całości wymysłem i pomysłem Firułkesów. Słusznie przeto żydzi w cichem bankructwie utopili swoich pupilów, bo kto mógł na ślepo tak głupi argument za swój przyjąć i poważnie się nim uzbroić, ten nawet na głośny krach nie zasługuje. Takich się w worku topi, jak kocie pomioty. Tacy nie mogą być nawet szeregowcami w żydowskim legjonie spryciarzów. Papierek — papierkiem, lecz na to go dano, aby utrzymał ruchliwe i rozległe pokrycie ze strony zwojów mózgowych. Gdy zaś one są do tego stopnia bezczynne,

bankrut staje się ostatecznym i beznadziejnym bankrutem. Nie można mu nawet w charakterze luzaka dowierzać. Jest kompromitujący.

Cisi bankruci nowej sztuki w dziale jej teorji różnemi zajmują się sprawami, a że z wielkim trudem myślą, niesprawnie, chaotycznie i nielogicznie, więc w rozprawach swoich są ponad wszelką miarę gadatliwi, rozwlekli, ciemni i nudni. Gdy zaś przytem mają w sobie ołowiany ciężar aryjskiej wiary w to, co mówią i myślą, żydom na nic są nieprzydatni, owszem — dla obrotności lekkiego i czujnego oszustwa żydowskiego — szkodliwi. To rozstrzygnęło o ich cichem bankructwie. Dla strony polskiej jednak te cechy ciężaru wiary i trudu docierania do prawdy, bez względu na ich wyniki, są cechami sympatycznemi. Lecz na tem właśnie ciężkiem i pracowitem tle jeszcze jaskrawiej odbija w bankrutach ich lekkomyślne i telegraficzne rozstrzyganie sprawy sztuki narodowej. A skoro sprawę tę z każdego punktu widzenia — przyrodniczego, psychologicznego, społecznego i filozoficznego—należy umieścić w samem ognisku wszystkich zagadnień sztuki, bankructwo teoretyków nowej sztuki okaże się dwustronne i nieuleczalne. Tknięci hypnozą żydowskiego fanatyzmu mają przed sobą zamknięte wrota kultury polskiej i aryjskiej, a obarczeni ciężarem wiary i prawdy, zaryglowane mają za sobą furty fortecy anonimowej. Ciężcy i lekcy zarazem w nijakości swej idą w kurz drogi bezcelowej — na torby. I pochłonie ich tłum bezimienny.

STANISŁAW PIEŃKOWSKI

TEATR

„INTERES PRZEDEWSZYSTKIEM"

PAUL REBOUX rozpoczął pierwszą serję swoich kapitalnych parodyj literackich (*a la Manière de...*) od noweli w stylu Oktawjusza Mirbeau p. t. *„Pour les pauvres"*.

Nowela owa jest arcytrafną karykaturą „Interesu przedewszyskiem", sztuczydła bardzo śmiesznego wbrew oczywistym intencjom autora już w epoce, w której powstało, dzisiaj zaś mogącego być wznawianem chyba na scenach, nie wstydzących się wystawiać „Wyprawy do bieguna".

W parodji Reboux'a występuje kapitalista francuski, finansujący coś w rodzaju rzeźni ludzkiej. Traktuje on biedaków, jak świnie, w dosłownem tego wyrażenia znaczeniu: zarzyna ich tysiącami i przerabia na produkty przemysłowe. Skupuje nędzarzy po przytułkach dobroczynnych, płacąc po dziesięć centymów za sztukę. Z krwi, którą im upuszcza, wyrabia pigułki dla anemicznych bogaczy. Z zębów ubogich angielek fabrykuje klawiatury fortepianowe. (Uzębienie dwu cór Albionu wystarcza na kompletną klawiaturę. Zęby zepsute służą do wyrobu klawiszy bemolowych). W innym oddziale jego fabryki rozpruwa się łona kobiet... i t. d.—i t. d.

Otóż postać właściciela owej fabryki w noweli Pawła Reboux jest wyjaskrawionym portretem Izydora Lechat, bohatera naczelnego melodramidła, którem Teatr Narodowy uraczył nas w zeszły piątek.

Czy ów Izydor Lechat jest również właścicielem rzeźni ludzkiej tego się z tekstu sztuki nie dowiadujemy. W każdym razie zachowuje się względem bliźnich tak, jakby ją posiadał Dla nędzarzy jest nieubłagany. Na ekonoma wziął sobie umyślnie zrujnowanego wicehrabiego, żeby módz zrzucać mu czapkę ze łba. (Co za roskosz!). Ogrodnika ruga od ostatnich, za to, że żona jego zaszła w ciążę. (Służbie jego nie wolno mieć dzieci, gdyż te, podrósłszy, mogłyby deptać trawniki w jego parku). Wytępił wszystkie ptaki w okolicy. Specjalnie niecierpi słowików, gdyż są rzadkie. Płaci chłopom premje za przynoszenie mu gniazd z jajkami, które niszczy zawzięcie. (Ptactwo szkodzi rolnictwu). Rujnuje po kolei sąsiadów, żeby skupywać ich dobra i na pszenicznych czy żytnich niegdyś łanach uprawia ryż, herbatę i bawełnę. (Jest postępowcem.). Pastwi się nad służbą, żoną, córką a nawet nad gośćmi. W momencie gdy obgaduje jakiś interes handlowy przynoszą mu wiadomość o śmierci syna. Ma serce tak twarde, że nie przerywa konferencji przed podpisaniem kontraktu, rujnującego jego wspólników. (Interes przedewszystkiem!).

Patrząc na tę figurę na scenie, podejrzewamy, że zdolna jest do własnoręcznego obdzierania proletarjuszy ze skóry i że hodowane przez siebie w sadzawce parkowej karpie karmi ludzkiem mięsem.

Talent p. Junoszy-Stępowskiego potrafił nawet z tak niewdzięcznej roli wykrzesać nieco prawdopodobieństwa. Chwilami, dzięki wybornej jego grze, ulegaliśmy suggestji, że Izydor Lechat jest postacią prawdziwą. Były to jednak momenty rzadkie. Ogórkowa gra reszty zespołu suggestję ową natychmiast niweczyła.

ZASTĘPCA

NOWE KSIĄŻKI

Chrzanowski Ignacy. Historja literatury niepodległej Polski (965 — 1495). Z wypisami. Wyd. X popr. i uzup. Warsz. 1930. Gebethner i Wolff. Str. IX i 739.

Powszechna Wystawa Krajowa w Poznaniu w r. 1929. Dzieło zbiorowe pod kierownictwem dr. Stan. Wachowiaka. Poznań 1930. Nakładem P. W. K. Tom. I. Str. XII i 587. Tom III (Wystawa rządowa). Str. 680. Oba tomy oprawne *in folio*, bogato ilustrowane.

Ejsmond Juljan *En forêt. Traduit du polonais par Schoell et Heinzel* Paris. Gebethner et Wolff.

Schroeder Arthur. *Les lionceaux* Trad. par H. Broël-Plater. Préface de P. Cazin. Illustr. de M. Bylina. Paris. Gebethner et Wolff.

Kleszczyński Zdz. Nerwy. Powieść. Warsz. 1930. Gebethner i Wolff.

Makuszyński Kornel. Najweselsze opowiadania. Warsz. Geb. i W.

Górski Artur. Glossy o ludziach i ideach. Warsz. 1930. Dom książki pol. Str. 341.

Wilder Hieronim. *Rara et curiosa* XVI—XVII ss *Polonica*. Katalog nr. 25. Warsz. Polski antykwarjat naukowy. (Traugutta 8).

Smogorzewski Kazimierz. *L'instruction publique en Pologne*. Paryż 1930. Geb. i W. Str. 28.

Smogorzewski Kaz. Stany Zjednoczone i Wielka Brytanja. Warsz. „Przegląd Polityczny". Str. 55.

Smogorzewski Kaz. *La presse en Pologne*. Paryż 1830. Gebethner i W. S. 16.

Nauka Polska. XII. Materjały do spisu instytucyj i towarzystw naukowych w Polsce. Warsz. 1930. Kasa im Mianowskiego. S. 359.

Materjały monograficzne woj. warszawskiego. Czasopismo związków samorządowych. Tom V, marzec 1930, Warszawa.

Boy-Żeleński. Narcyssa i Wanda. Listy Narcyzy Żmichowskiej do Wandy Grabowskiej (Żeleńskiej). Warsz. 1930. Dom Książki Polskiej. Str. XXXVI i 382.

Szaniawski Jerzy. Adwokat i róże. Żeglarz. Ptak. Warsz. 1930. Dom Książki Polskiej. Str. 258.

Grossek-Korycka Marja. O supremacji zła. Synteza współczesności. Wyd. II Warsz. 1930. Z subwencji funduszu kultury narodowej. S. XIII i 404.

Bandrowski Jerzy. Czerwona rakieta. Powieść. Wyd II. Poznań. Wydawnictwo Polskie.

Gawalewicz Marjan. Zorza. Powieść. Tamże.

Biggers Earl Derr. Kolumna westchnień. Powieść. Poznań.

Brant Ewgenij. Ritualnoje ubijstwo u Jewrejew. Kniga III. Białgrad 1929.

Jeleńska Ludwika. Sztuka wychowania. Bibl. dzieł pedag. Warszawa. 1930. Nasza Księg. s. 229.

ERRATA. W artykule senatora W. Jabłonowskiego w nr. 30 poprawić należy: Str. 463 szp. 1 w. 6 od dołu po słowach: „w ciągu całego wieku" opuszczono: tylko 12. W Padwie (kształciło się i t. d.); tamże wyżej w. 25 zamiast 1651 r., powinno być „1551 r."; str. 464 szp. 2 w. 1 powinno być „Massalski".

OFENSYWA

„MOTYŁEK"

CAMILLE Mauclair w swej *„La força de l'art vivant"* (kwalifikującej się na jaknajszybsze przyswojenie językowi polskiemu) zwraca także i na to uwagę, jak bezceremonjalni i na wesoło bezczelni są międzynarodowi żydzi ze Wschodu, koczujący w Paryżu, w procederze fałszowania i szachrowania wszelkiemi walorami artystycznemi. Giełdziarskie rojowiska tych skrzętnych, nerwowych i uwijających się archiszajgeców z Montmartru i Montparnasu każdej chwili gotowe są ot tak poprostu dla samej rozkoszy szachrajstwa z pierwszego lepszego pacykarza, daltonisty, kaleki lub świadomego szarlatana w przeciągu jednego sezonu zrobić autorytet i światową *celebrité*. Czasami nawet na złość krytykom i estetom Aryjczykom. Do każdego takiego genjusza *made in Semity* dorabiają zaraz... legendę. W fabrykowaniu szczegółów legendy roztaczają inwencję i pomysłowość niepospolitą. Nie cofają się wtedy przed żadnem kłamstwem i blagą. Przeważnie atoli taką legendę fabrykują impotenty i improduktywy o kimś, co jednak coś produkował, o kimś, co na swój sposób był twórczy. Dziesięciu żydów cyganów z Montmartru robi n. p. wielkość z jakiegoś Chagalla. I to się udaje. Nie zdarza się atoli, żeby któryś żydowski knociarz sam o sobie fabrykował legendę. Do tego stopnia nieprzyzwoitości, szachermacherstwa i arogancji jednak jeszcze nawet te przeważnie ruskie żydy i Chazary nie doszły.

Cezary Jellenta, onże Hirschband, Napoleon *recte* Naphtali, Cezar *(sic)* Hirschband fabrykuje legendę o sobie sam, własnoręcznie i bez żenady. Czytelnicy „Myśli Narodowej" wybaczą, że tutaj już po raz trzeci zajmuje się ich tym objektem, czy raczej subjektem, ale osobnik jest zanadto charakterystyczny dla polityczno-moralnej atmosfery, którą przeżywamy, żeby jednak nie brała ochota brać to szczypcami za uszy i od czasu do czasu wyciągać w jarzące światło „Jupiterów". Oto i przykład jak niewybredna jest ta w stadjum agonji wschodząca Piłsudczyzna w doborze ludzi swego frontu pisarskiego, jak ta nasza „wewnętrzna okkupacja" nie orjentuje się w walorach i gatunkach ludzi, z innych poza soldateską ludzi, no i jakie wiechcie, jakie wióry, jakie śmiecie, jakie destrukta i jakie zera dzięki temu wypływają na wierzch bajory, narzucają się opinji, pętają, szwendają, zanieczyszczają powietrze, no i... „reprezentują".

W pierwszym numerze paryskiego pisma polskiego (subwencjonowanego) „Polonja" p. Wł. Budzyński (?) zamieścił „sylwetkę" tego Jellenty p. t. „C. J. człowiek i twórca renesansowy". Na ten przymiotnik można się zgodzić, bo był w Warszawie taki *bums* nocny też zwący się *„Renaissance*'m". W „Polonji" czytaliśmy:

„Charakter tak czynny i tak nieustępliwy, rewolucjonista i zarazem budowniczy form nowych, zawsze na czele wszelkich ruchów poważnych, muzyk, śpiewak, poeta, krytyk, mężczyzna i patrjota — tyle rozmaitych objawów jednej osoby, a wszystkie pierwszorzędne"...

„Mężczyzna" i „patrjota", „śpiewak", „zawsze na czele wszelkich ruchów poważnych", „budowniczy form nowych". Jedyny epitet z tej girlandy, który można wziąć na serjo, to tylko: „mężczyzna". Wszystko inne to bluff, blaga *talmi*.

Dość sobie pokątny adwokat, znany od procesu o odszkodowanie dla ś. p. Reymonta (za katastrofę kolejową i poranienie) przepędził żywot w trzech kawiarniach warszawskich, w czterech berlińskich, no i grafomanił z zaparciem się siebie, smarując jakieś romanse i jakieś dramaty, których oprócz rodziny, zecerów i cenzorów literalnie nikt nigdy nigdzie nie czytał, aczkolwiek sieczka miewała takie uwodzące tytuły jak „Kraswa" lub „Książe o turkusowych oczach" („to on! to on! to sam mecenas Kohn"!) a efemerydki pisemka, które wydawał, takie tytuły jak „Białe Pawie", „Rydwan" i t. p. Wogóle i *summa summarum Kaffehauspflanca*, jako twórca gdzieś poza nawiasem piśmiennictwa na peryferji, humorystyczny przez swe zabawne ambicje protagonistyczne, przez swą polszczyznę judosłowiańską, przez swe przedrzeźnianie, podstawianie się i emulację z... Miriamem, przez swoje „fontazie" zamiast krawatek, swoje „chansonierstwo" i swój don-Jouanizm, który wyrobił mu renomę tak zwanego po starowarszawsku „tygrysa na sklepówki" i „motylka". Tak go nazwał któryś z kolegów adwokatów Raciążker czy też Szczebrzeszyner: „Jellenta to on jest taki motyłek, bo się ciska z kwiatka na kwiatek"... Oprócz tego mecenas Hirschband był jeszcze kohnferencierem" i „essayistą", to znaczy, że jeżeli przeczytał dwie książki o „Leonardo da Vincim" lub o Schumanie, Schubercie, Czajkowskim lub o... Kalidasie... to miał o tem i z tego trzy odczyty i jedno „studjum" czyli „essay". Takich żydowskich adwokatów, piszących takie „essayes" w każdym mieście europejskiem powyżej 100.000 mieszkańców bywało przed wojną *plus minus* trzech. Z twórczością, z literaturą, piśmiennictwem to nic a nic niema wspólnego. Żeby taki „muzykołog" czy „estetateleben" używał nawet stale słów: snadnie, swadźba, zrękowiny, naręcze, przetoć, wszakoż, aliści, próchnica, gwoli, plon, k'temu i t. p., to mu i to też nic nie pomoże. Zostaje zawsze: talmi, quasi, pseudo, zostaje namiastkiem, oszwabkiem, falsyfikatem, *ersatzem*. I podczas, gdy nawet Feldman ma duże zasługi krytyczno-popularyzacyjne, podczas gdy Ostap-Ortwin wnosił pewne nowe solidne wartości, a St. Lack był indywidualnością pisarską całkiem serjo (i właśnie przez to zapoznaną), Jellenter pozostał zawsze tylko dyletantem, amatorem, „lubownikiem", „secesjonistą", no i... „motyłkiem".

Taki to „motyłek" na stare lata sprzedał swe pióro i swe sumienie klice Pierwszej Brygady. Przed wojną zawsze broniło go się przed aeropagitami „Chimery", mocno wzgardliwymi dla żydowskiego wiercipięty i podejrzywającymi, że kiedyś zrobi jednak jakieś „świństwo". Dla „Chimerzystów" mecenas Hirschband poprostu nie egzystował. No i okazało się, że mieli rację, że przeczuli moralną siłę i wartości „motyłka". Zmęczony bidą i zirytowany pomiataniem Jellenter sprzedał się, i to do posług najpośledniejszych. Zamówili u starego żyda adwokacki wywód, że plugawy żargon właśnie jest właściwą gwarą bohaterów narodowych i mężów opatrznościowych. Mecenas „Motyłek", „esteta", „subtelny" na dany termin towaru dostarczył. Dosyć już miał „rezygnacji z dosytu" i „dumy odosobnienia". „Jasny Hubert" i choć tam ongiś niby „liberał" i „radikał", dał się tanio wynająć. Za to ma splendory, honory, gratisowe bilety kolejowe, paszporty dyplomatyczne, fraki, smokingi, jeździ do Bukaresztu, do Hagi, do Berlina, „reprezentuje" i w „Pen-Klubie" się pęta na pierwszym planie. Generał Stachiewicz, pułk. Koc, Wyżeł Ścieżyński Stieglitz, sierżant Maślanka i cały szereg uginających się pod orderami exenfermów uważa i poważa go jako „sławnego literata" z poprzedniej generacji. Obiecano mu, że będzie zprezentowany w Belwederze, a Jehanna ma go wprowadzić i na herbatki. Może być Ulanowski, to dlaczego nie może Jellenta? To będzie jego zenit jego tryumf, korona żywota „Motylka". Wobec tego i w nadziei, że zostanie może ozdobą jakichś „czwartkowych obiadów" na Zamku, stary i nieco sparszywiały „tygrys na sklepówki" stara się jeszcze jakoś wylegitymować i coś ze siebie zrobić, jakąś aureolą się otoczyć, legendę dofastrygować.

I oto w jednym z numerów „Gazety Polskiej" pisze Motyłek feljeton p. t.: „Na tyłach rewolucji". Że to niby w r. 1906... no... to on... co to tam ukrywać.., także... niby... w rewolucji... coś... tegoś. Nietylko premjer Sławek!... Ale i on.

Znamy dobrze te czasy i tych ludzi. Istotnie w „Ateneum", porwany gorącą atmosferą „Motyłek" palnął sobie artykuł, że niby sztuka i rewolucja coś tegoś to jedno. Stupajki numer skonfiskowały spokojnie, w domu rewizja jakich tysiące bywało u nas wszystkich w tych latach, ale tylko jeden Jellenter odrazu tak się nastraszył, że zmył przepietrany gdzie pieprz rośnie, to znaczy oczywiście do Berlina.

Niepotrzebnie i bezczelnie teraz z tego tchórzostwa *a la* Ehrenberg robi bohaterstwo i współudział w rewolucji na tyłach. Moskale byliby mu włoska z bródki nie wyrwali, bo był postacią nieszkodliwą a zabawną, bo był „impresjonistą".

Motyłek zaś... teraz... poniewczasie, jako rewolucjonista to jest szmonces i szwindel, kiepski szmonces.

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

„Trybuna Radziecka" w Moskwie ogłasza w nr. 80 i 81 z 22 i 25 lipca korespondencję Feliksa Dzierżyńskiego (pseudonim Józef), o wypadkach styczniowych w Warszawie 1905 r., któremi kierował razem z Piłsudskim, a któremi tak szczycą się twórcy zamachu z r. 1926. List ten i wspomnienie, które „Trybuna" o wodzu bolszewickim ogłasza, pewno będą przedrukowane w „Niepodległości", wychodzącej w Warszawie pod redakcją b. ministra Leona Wasilewskiego. Dzierżyński przybył „na robotę" także z Krakowa i szalał z radości na widok mordu na ulicach Warszawy. List swój kończy: „Podajcie to zaraz do „Nowej Reformy" i do „Iskry". Róży wysyłam kopję, na wszelki wypadek zaraz prześlijcie". W przypiskach „Trybuna" objaśnia: „Nowa Reforma—organ demokratów krakowskich, Iskra—organ mienszewików rosyjskich, Róża — to R. Luksemburg, która była wtedy w Berlinie". Oto do jakiej roboty użyci byli robotnicy przez organizację międzynarodową masońską, tak umiejętnie łączącą w jedno demokratów z Nowej Reformy z kierowniczką ruchu żydówką, Luksemburg w Berlinie. Wiedeń i Berlin „hecowały" Warszawę przeciwko Rosji, pchając ją w rewolucję, wszczętą w Rosji. Przecież to tylko przypadek, że po wojnie jedni z rewolucjonistów zostali w Polsce, drudzy rządzili w Bolszewji.

Może ten przykład nauczy rozróżniać między programami niepodległości. Towarzysze Dzierżyńskiego przypadkiem są w Polsce teraz i również przypadkiem dla nich ta Polska jest niepodległą.

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 25-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel 12-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Tel. 19-57. Zielna 47. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.